



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

„LILI” GOETHEGO.

Kartka z życia poety.

W dniu 28 b. m. Niemcy obchodzą uroczyste sto pięćdziesiątą rocznicę urodzin największego swego poety. Nie rozwódząc się nad znaczeniem jego w piśmiennictwie, który to przedmiot był u nas niejednokrotnie omawiany, a chcąc wielkiego poety przypomnieć pamięci naszych czytelników, dajemy kartkę z jego życia, obfitującą w barwne i zajmujące epizody. Jest to historia miłości i narzeczeństwa, oparta na własnych jego wspomnieniach („Z mojego życia. Prawda i fantazyja”), oraz na dziełach najprędniejszych jego biografów.

Goethe posiadał serce wrażliwe na wdzięki niewieście i nie odznaczał się wielką stałością; przytem kochając, szukał zawsze powiernicy uczuć swoich, któraby go radą i czynem wesprzeć mogła i nie wahała się w razie potrzeby zmyć mu głowę naleźycie. Z chwilą przesiedlenia się do Wejmaru, nabiera pod tym względem większej samodzielności — do tego wszakże czasu potrzeba ta nie przestaje być charakterystycznym rysem jego istoty. Kochając, jeszcze jako młode chłopię, Gretchen, otwierał serce swe przed siostrą Kornelią; w czasach, kiedy go oczarowała piękna córka pastora z Sesenheimu, pisywał tklive listy do frankfurckiej przyjaciółki swej, Franciszki, kiedy zaś był przykuty do boku Lili, spowiadał się z uczuć swoich przed siostrą hrabiów Stolbergów, Augustą.

Powszechnie przyjętym naówczas zwyczajem, romantyczny przyjazny ten stosunek ograniczał się do wymiany listów i w tej korespondencji,

należącej do najwymowniejszych świadectw ówczesnego duchowego stanu poety, znajdujemy wierne odbicie uczucia, żywionego dla Lili, którą, jak o tem później zapewniał Eckermann, kochał więcej nad inne kobiety. „Ona była w istocie pierwszą, głęboko i prawdziwie przeżennie ukochaną. Imogę powiedzieć, że była ostatnią; wszystkie bowiem drobne skłonności, których w ciągu mego życia doznawałem, w porównaniu z tą pierwszą były lekkie i powierzchowne.”

Nie można wszakże polegać w kwestyach miłości na zapewnieniach Goethego. Nie mamy żadnych dowodów na to, że kochał Lili więcej niż Fryderykę Brion, z dalszych zaś kolei życia poety wiemy, że miłość jego ku pani von Stein i Krystynie Vulpis, z którą następnie wstąpił w związki małżeńskie, była o wiele głębszą i trwalszą. „Moja miłość dla Lili, zapewniał poeta Eckermann — miała coś tak delikatnego i sobie tylko właściwego, że dziś jeszcze, kiedy odtworzam ową bolesno-szczęśliwą epokę, wspomnienie jej wstrząsa mną do głębi. Kiedy pan w przyszłości przeczytasz czwartą część „Prawdy i fantazyi,” przekonasz się, że miłość ta była czemś zupełnie innem, niż zwykła miłość w romansach.

I oto czwarta część „Prawdy i fantazyi” w rękach każdego znalazł się może, potrzeba wszakże niepospolicie bujnej wyobraźni na to, aby znaleźć tam ową zapowiadaną, głęboką namietność. Nigdy żaden poeta nie opowiedział chłodniej dziejów swej miłości. Brak tam owego serdecznego ciepła, które przenikać powinno każde słowo opowiadania, każdy rys obrazu; brak zupełnie owych nie dających się zatrzeć wspomnień miłości, które wszystkie, najdrobniejsze nawet szczegóły w jeden ciąg opowiadania splatają; w ogóle trudno tam nawet znaleźć jej dzieje. Poeta zdaje się korzystać z każdego pozoru dla przerwania opowieści uwagami ogólniejszej

natury, lub też charakterystyką osób, nie uczuciem tem wspólnego nie mających; mówi o sobie, jako o „młodzieńcu, o którym tu mowa,” opowiada o Lili i jej otoczeniu bardzo powierzchownie, tak że uczucia, które nim powodowały, czytać potrzeba pomiędzy wierszami.

Trafnie też zauważył Goethe, że miłość, o której pisać zamierzał, była czemś zupełnie innem, niż miłość w romansach. W utworach powieściowych, nie mówiąc już o tem, do jakiego szalu autor ideał namietności wznieść zamierza, dąży on przynajmniej do wypowiedzenia tej prawdy, że dla miłości poświęcamy serce, ducha i życie, wszystkie cele i pragnienia, że się dla niej wyrzekamy dumy swej i rozsądku, że całą swą istotą chcemy się połączyć z istotą ukochanej, ażeby w tem zespoleniu się wznieść się na wyżyny. Kochać — to znaczy znaleźć bratnią sobie duszę i z nią iść przez niebezpieczne otchłanie i błędne życia ścieżki. Wspierać się wzajemnie, kiedy przepaść drogę zalegnie, pocieszać się wzajemnie w smutkach i przeciwnościach losu i upajać się wzajemnie szczęściem, kiedy blask słoneczny pada na przestrzeń, leżącą przed nami, okazując nam w cichej oddali miejsce wytchnienia, do którego wszyscy w życiu tem dążymy.

Nie tego szukał poeta u swej Lili; nie tak oddawał jej też całą swą istotę, ażeby w jej miłości niezmacone znaleźć szczęście. Podczas gdy to szesnastoletnie dziecię, w całym blasku bezłotosnej swej piękności, w całej świadomości potęgi swej, ponętami namietnej tęsknoty ujęło w więzy jego niestałe serce, dusza poety została nietkniętą, jak się o tem przekonamy z naszego opowiadania.

Anna Elżbieta Schtönemann, unieśmiertelniona przez Goethego pod imieniem Lili, była córką zamożnego frankfurckiego bankiera, który prowadził dom na stopę magnacką. W jakich warunkach poznał ją poeta, dowiadujemy się z owej

czwartej księgi „Prawdy i fantazy:“ *) „Jeden z przyjaciół, prawdopodobnie muzyk Kayser, namówił mnie, żebym wieczorem poszedł z nim na koncert amatorski, w domu zamożnej rodziny kupieckiej, wyznania reformowanego. Było już późno; że jednak lubiłem wszystko co improwizowane, zaproszenie przyjąłem. Weszliśmy do obszernej sali parterowej, w której liczne już towarzystwo było zebrane. Do klawikordu siadała właśnie jedyna córka gospodarstwa; zagrała z niepospolitą biegłością i wdziękiem. Stałem przy końcu przeciwnym klawikordu, ażeby jej się lepiej przypatrzyć: miała w twarzy i zachowaniu się coś prawie dziecinnego jeszcze; ruchy jej, grą spowodowane, swobodne były i lekkie. Po ukończeniu sonaty przystąpiła do mnie i powitaliśmy się, nie mówiąc, bo rozpoczynał się już jakiś kwartet. Później dopiero powiedzieć jej mogłem kilka słów uprzejmych: jak szczęśliwym się czuję, że przy pierwszym zaraz spotkaniu się zapoznałem się i z jej talentem. Odpowiedziała mi zrećźnie i pozostaliśmy chwilę obok siebie. Uważałem, że przypatrywała mi się bardzo uważnie i że byłem jakby na oględzinach, na co zgadzałem się chętnie, ponieważ sam także ponętny obraz miałem przed sobą. Patrząc więc wzajemnie na siebie i nie przecząc, że czułem się w sposób łagodny ku niej pociągnięty. Ruch i gwar towarzystwa przeszkadzał jednak tego wieczora zbliżeniu się naszemu; milego za to doznałem uczucia, gdy przy pożegnaniu matka wyraziła nadzieję zobaczenia mnie wkrótce, a córka spojrzeniem zdawała się jej potakiwać. Istotnie też po wymaganej przyzwolności przerwie nie omieszkałem ponowić swych odwiedzin, w czasie których rozmowa bardzo swobodna i rozsądna, nie zdawała się wcale zapowiadać stosunku namiętnego.“

Lili miała zaledwie lat szesnaście, kiedy się Goethe w niej zakochał. Jest to wiek, w którym dziewczęta posiadają urok piękna w całej świeżości i przeczyć temu nie będą nawet ci, co czują wyższość zupełnie rozwiniętej kobiety. W wieku tym jest jeszcze poezja, ale nie ma jeszcze głębi umysłu, ani wykształcenia charakteru. Trudno sobie wyobrazić autora „Götze“, „Fausta“, „Prometeusza“, zajętego towarzystwem szesnastoletniego, trzpiotowatego podlotka.

Lili była rzeczywiście niepospolitej urody: posiadała bujne złote włosy, oczy figlarne niebieskie i drobna, owalną, o regularnych rysach twarzyczkę; ruchy jej i postawa ośniewały wdziękiem, królowała na wszystkich balach, dzięki swej urodzie i umiejętności prowadzenia lekkiej, zajmującej i dowcipnej rozmowy. W tych zaletach kryły się również i jej wady: była kokietką i czuła się najszcześniejszą w roli królowej, w otoczeniu licznej swity nadskakującej jej młodzieży; potrzebowała koniecznie do życia balowej atmosfery. Był to kwiat piękny—lecz pod kłosem wyhodowany.

Gretchen i Andzię ujrzał poeta w wązkich ramach małomiasteczkowego życia, Fryderykę i Lotte na tle sielskiego krajobrazu zielonych łąk i pól zbożem falujących, w Lili przyszły dworski kawaler poznał po raz pierwszy arystokratkę. A charakter jej nie był wcale wyjątkiem z reguły. Już w początkach znajomości, w jednej z owych rozkosznych godzin, kiedy egoizm zdaje się pozornie z dyskretyą na bok usuwać, a kochankowie dumni są z tego, że wzajemnie błędy sobie wyznac mogą—nie unikając naturalnie napomnień o szlachetniejszych właściwościach charakteru—opowiedziała mu Lili dzieje swego życia; opowiedziała mu, jak płochą była; opowiedziała wreszcie, że i na nim próbowała swej sztuki i została ukarana, sama bowiem wpadła w więzy miłości. Armida znalazła się więc w pętach Rinalda, ale Rinaldo wstąpił za nią do czarowanych ogrodów raczej z ciekawości i zamiłowania do przygód, aniżeli z miłości samej.

Charakterystyczne są pod tym względem wyznania poety: „przepędzałem z nią wtedy najprzyjemniejsze godziny, to z nią samą, to w obecności jej matki. Sądząc z pism moich,

przyznawano mi znajomość serca ludzkiego, jak podówczas mawiano i dla tego wszystkie nasze rozmowy bywały etycznie zajmujące.

Lecz jakże tu rozmawiać o tem, co się dzieje w głębi piersi, jeżeli się tej głębi nie rozśloni wzajemnie? To też Lili niezadługo opowiedziała mi swoje dzieje. Wyrosła wśród używania wszelkich przywilejów towarzyskich i przyjemności światowych. Opisała mi swych braci, krewnych i najbliższe stosunki; jedna tylko jej matka pozostała w półcieniu.

Była mowa i o drobnych słabostkach; wyznała więc, że dostrzega w sobie pewną chęć przyciągania ludzi, połączoną z łatwością porzucania ich potem. Doszliśmy tym sposobem po dłuższych rozprawach do przekonania, że ona i na mnie tę władzę swą wywarła, lecz jednocześnie została ukarana, uczuwszy się nawzajem przeze mnie przyciągniętą. Wyznania te płynęły z tak czystej dziecięcej natury, że całkowicie mnie sobie zjednała.

Wywiązało się odtąd wzajemne nawyknienie, potrzeba widywania się ciągłego; że jednak najczęściej spotykać ją mogłem tylko w kołach towarzyskich; wynikły z tego różne dla mnie udręczenia.

Stosunek mój względem niej był czysto osobistym stosunkiem młodzieńca do panny pięknej, wykształconej i godnej kochania; nie pomyślałem jednak o przeszkodach zewnętrznych, o wmieszaniu się względów towarzyskich. Ogarnięci nieprzepartym pociągiem, nie mogliśmy żyć bez siebie; a przecież w otoczeniu jej pod wpływem pojedynczych członków rodziny, wyradzały się często dysonanse.

I nic dziwnego—znaczną pomiędzy nimi w domowych stosunkach zachodziła różnica. Do wykwintnego towarzystwa, zbierającego się w domu bankiera, nie mógł się w żaden sposób doстроить charakter genialnego młodziana, który nie znośił etykiety, przesady i przymusu. A że sobie musiał gwałt zadawać, towarzysząc jej po koncertach, rautach i balach, widzimy to z jego wspomnień. „Ona, którą przywykłem widywać tylko w domowym, rzadko zmienianym ubraniu, występowała teraz często w stroju modnym, wykwintnym, a jednak była to ta sama. Jej wdzięk, jej słodycz pozostała niezmienną; powiedziałbym tylko, że siła przyciągania wyraźniej się jeszcze uwydatniła. Wpływało to może z tego, że znajdowała się w obec większej liczby osób, zmuszona wywnętrzać się żywiej, stawać się niejako różnicą, w miarę jak stykała się z tym lub owym, dosyć, żem nie mógł zaprzeczyć, iż lubo obce te figury bywały mi czasem bardzo nie na rękę, rad oceniałem jej przymioty towarzyskie, widząc ją w szerszych z ludźmi stosunkach obracającą się swobodnie.

Była to przecie ta sama pierś, więcej tylko strojem teraz przyozdobiona, która otworzyła mi swoje wnętrze i której tajnie znałem tak dobrze, jak swoje własne; były to te same usta, które niedawno skreśliły mi koleje jej wychowania i pierwszych lat młodzieńczych. Każde wymienione między nami spojrzenie, każdy uśmiech świadczył o skrytem lecz szlachetnem porozumieniu, i nieraz sam w ciżbie zdumiewałem się tą jakby znową, tak naturalnie, tak niewinnie między nami zawiązaną. Jaki żywot pędził naówczas poeta, widzimy to z jego listu, pisanego do hrabianki Augusty Stolberg: „Jeżeli pani możesz wyobrazić sobie Goethego, w wygalowanym stroju, od stóp do głów wyelegantowanego, wśród rześkiego światła kandelabrow i żyrandoli: w tłumie różnych ludzi, przytwierdzonego do zielonego stolika parą pięknych oczu, rozrywanych ustawicznymi zabawami, spieszącego z rautu na koncert, a z koncertu na bal i w całej pełni lekkomyślności asystującego pięknej blondynie—wtedy będzie pani mieć portret karnawałowego Goethego.“ Widzimy wszakże ze wspomnień poety, że pozornie tylko czas mu wesoło upływał. „Nie będę się tu rozszerzał nad wycieczkami wesołemi, które dla mnie kończyły się czasem wcale nie wesoło; nie wspomnę o ślamazarnym bracie Lili, który mając pojechać ze mną musiał wprzód z całą flegmą, a czasem może nawet

złościwością, załatwić swe interesy, przez co nieraz zupełnie pomieszał nam szyki; ani o różnych nieporozumieniach i zawodach, słowem o wszystkich tych małych przykrościach, które opisane z talentem w jakimś romansie, znalazłyby może chętnych czytelników.

Stosunek wzajemny zakochanej pary doskonale maluje następujący wiersz, który w przekładzie przytaczamy *).

Czemuż w gwar pociągasz mnie za sobą
Nieprzeparcie tak?

Czyliż mi do szczęścia nocną dobą
Było czego brak?

W swej leżałem izdebce, spowity
W księżycowy czar...
Cudne szczęścia wschodziły mi swity
Z sennych rojeń, mar...

Śniłem, że się nasze życie stoczy
W niezmaconym śnie
I widziałem obraz twój uroczy
Na mej duszy dnie.

Mnie-ż to dziś w niezdolność dla mnie twarze,
W blaskach tylu świec,
Każe patrzeć, przy karcianym gwarze,
Urok twoich lic.

A toż wiosna nademną rozpina
Czarowniejsze sny,
Jest i miłość i dobroć, jedyna,
Tam gdzie jesteś ty!

(Dokończenie nastąpi).

OGRÓDEK.

Moje serce, jest jak ogród,
W którym buja kwiatów dużo,
Lecz nie spotka się tam wcale,
Z konwalijką, ani z różą.
Za to wszędzie, dookoła,
Splatają się w gestą puszcę
Te, co znakiem są przyjaźni,
Pięszczeniwe, wiotkie bluszcze,
Tu i ówdzie przebłyskuje,
Śnieżny kielich tuberozy,
Co odurza silną wonią
I symbolem jest newrozy.
Tam znów wyżej, w blasku słońca,
Śmiało sobie w górę strzela,
Zaszczepiona z kąś krzewina
Wawrzynu, poetów ziela.
Obok wszędzie, w każdym kątku,
Ciągłe kwitnie między niemi,
Niby jaskry i stokrocie,
Szczera miłość mojej ziemi.

Klin (z Krakowa).

*) Przekład Ludwika Jenikiego.

*) Przekład Władysława Nawrockiego.

BEZ TYTUŁU.

Powieść współczesna

przez

Stanisława Osfrowskiego.

(Dalszy ciąg).

Przez całą drogę Władysław monosylabami tylko odpowiadał Anusi, bo myślał ciągle o głębokich, piwnych oczach panny Zofii i o świecących się w nich złotych iskierkach. Myślał o nich i w ciągu dni następnych. Zrana trochę pomagał ojcu przy gospodarce, przy dozorowaniu robotników, parę godzin spędzał przy matce lub z Anusią, a resztę czasu używał na dalekie przechadzki w pole, na błakanie się samopas po lesie, czując teraz potrzebę samotności bardziej, niż kiedykolwiek bądź dawniej. Nie był zresztą osamotniony, bo był z myślami, a te myśli nie były dlań niemiłe, malowały bowiem przed nim na każdym niemal miejscu wdzięczną osobkę o głębokich, piwnych oczach i bujnych włosach kasztanowych. Te oczy wyglądały doń ze szpaleru leśnej zieleni, wyzierały z kłosów zboża, niby odmienne, ciemniejsze od zwykłych bławatków, jawiły się wzdroju, niby odbite wieczornych niebios gwiazdki. Raz patrzyły nań z wyrazem jakiejś głębokiej zadumy i spokoju, innym razem świeciły się w nich jakieś żywe, złote iskiery i wówczas Władysław czuł, że serce zaczyna mu bić mocno.

Te wrażenia były dlań bardzo nęcące i słodkie. Oddawał się im zupełnie biernie, nie starając się wysnuć z nich pewnego wniosku; pragnąc tylko, aby nawiedzały go one jaknajczęściej. Czuł, że jakiś prąd tajemny a niepowstrzymany zbliża ich serca i pociąga ku sobie, poddawał się mu z rozkoszną uległością; było w tem dużo zadowolenia z obecnego stanu i jakiegoś zaciekawienia względem tego, co nastąpi dalej, a miał przytem poczucie, że nastąpi coś jeszcze słodszy i serdecniejszy.

Był niby pogrążony w miłym śnie, którego nie chciał zakłócać myślą o tem, czy się skończy i w jaki sposób się skończy.

Tymczasem, wracając pewnego wieczora z takiej włóczki po polach, ujrzał na dziedzińcu stajennego chłopca, który oprowadzał dokoła gazonu spoczonego wierzchowca.

— Kto to przyjechał? — zapytał.

— A panicz z Zamiechówki, — odparł chłopiec, zdejmując czapkę.

— To Michaś, — pomyślał sobie Władysław i zrobiło mu się trochę przykro. Był to jeden z jego kolegów gimnazjalnych, którego rodzice mieszkali o milę od Kamionki. Łączył go z nim stosunek ściślejszej przyjaźni i zaraz po powrocie z Warszawy miał zamiar odwiedzić dawnego kolegę w jego wsi, w której on od ukończenia gimnazjum gospodarował, pomagając ojcu, zatrudnionemu dość często cudzemi interesami. Teraz widocznie, nie doczekawszy się wizyty przyjaciela, przyjeżdżał pierwszy nawymyślać mu za zapomnienie.

Władysław szybko poszedł ku domowi, mówiąc sobie w duchu, że przecież łatwo wytłomaczy się przed Michałem opóźnieniem swojej u niego wizyty, z tem wszystkiem nie mógł się obronić jakimś przykremlu uczuciu, które nie wiedział sam, czemu ma przypisać.

Michaś, a raczej już pan Michał Głębiński, był obrazem wiejskiego zdrowia i siły. Stanowczo zaokrągłej tuszy na swoje dwadzieścia cztery lata, o karku potężnym i nabrzmiałym, o szerokiej czerwonej twarzy, na której jaśniał wyraz pogody i poczucia swojej tęgości fizycznej — był typem jeszcze gdzieniegdzie spotykanych synów szlacheckich, których przysłowiowa niemal tuższa, dobry apetyt i pewna płytkość umysłowa

jest dziś przedmiotem podziwu i zazdrości pokolenia przeczulonych nerwowców.

Objął Władysława w swoje potężne ramiona, dając przyjacielowi uczuć prawdziwą gorącość uścisku.

— Jak się masz, Władku, — mówił głosem, zupełnie odpowiadającym tuszy. Dopiero wczoraj dowiedziałem się przypadkiem o twym przyjeździe i oto masz mnie dziś u siebie.

— Dziękuję ci szczerze za odwiedzin, — odezwał się Władysław, ściskając prawicę przyjaciela, — wybierałem się do was w tych dniach.

— Właściwie, ja tu potrosze w charakterze oficjalnym, — odezwał się z szerokim uśmiechem na twarzy pan Michał, — widzisz, za dwa tygodnie mamy Św. Małgorzaty, jest to dzień imienia mojej matki. W zeszłym roku w tym czasie wyjechalismy do Krynicy, lecz w tym roku matka chciałaby obchodzić dzień swych imienin w domu i sprawić rozrywkę moim siostrom. Wydajemy więc wieczór tańczący i ja właśnie w roli wicegospodarza mam honor prosić kochanych państwa (tu się uklonił pan Orzełski), aby raczyli zaszczyścić nas swoją obecnością.

Wypowiedziawszy tę przemowę nie bez pewnej forsory w głosie, młodzieniec odetchnął wolniej i wyciągnął dłoń ku Władysławowi.

— Mam nadzieję, że nie odmówisz memu zaproszeniu.

— My już w twoim imieniu przyrzekliśmy z Anusią, — odezwała się pani Orzełska.

— Ależ owszem, owszem, — odrzekł Władysław, oddając uścisk przyjacielowi, — dziękuję ci szczerze za pamięć. Nie tańczę wprawdzie — przyjmuję wszakże z przyjemnością twoje zaproszenie.

— Ale mam nadzieję, że swoją drogą odwiedzisz mnie jeszcze przed wieczorem.

— Naturalnie, mówiłem ci przecież, że mam się w tych dniach wybierać do ciebie.

— Zaraz — czekaj: dziś mamy czwartek; jutro muszę być z zaproszeniem w Orzeszkowcach... wiesz co? przyjeżdżaj do mnie pojutrze! Albo może w Niedzielę? jak wolisz?

Władysław drgnął nieznacznie:

— Będziesz jutro u państwa Roztworowskich? to się spotkamy, bo ja odwożę jutro do nich Anusię i zabawimy zapewne do wieczora.

— A to doskonale! jutro więc ułożymy się co do twojego przyjazdu.

Spieszył jeszcze dokądś, więc pożegnał się wkrótce, uściśniętym znowu mocno Władysławowi i po chwili spocony wierzchowiec poniosł go gościńcem, uginając się pod okazałym swoim ciężarem.

Po odjeździe gościa Władysław uczuł jakieś niezadowolenie. Uśmiechała mu się wprawdzie perspektywa wieczoru w Zamiechówce, na którym miał się spotkać z pannami Roztworowskimi, wszakże wiadomość o jutrzejszej wizycie Michała w Orzeszkowcach sprawiła mu jakgdyby przykrość.

— Nie wiedziałem, że on bywa u nich, — pomyślał sobie w duchu.

Lecz schwytał siebie w tejże chwili na tem uczuciu.

— Więc cóż ztąd, że bywa? — zapytał sam siebie, — jest to przecież rzecz zupełnie naturalna. Od Zamiechówki do Orzeszkowiec niedaleko, jak ztamtąd do Kamionki. Zresztą — co to mnie może obchodzić?

Jednak obchodziło go to widocznie, bo po chwili znowu mu blysęło w myśli:

— A jednak one nie wspominały mi, że on u nich bywa.

Lecz tu znowu chłodniejszy rozsadek osadził tamtą myśl w gorączkowym zapędzie.

— Kiedyż ci miały mówić? — rozmawiał z niemi parę godzin, a chęć żeby wyliczyły przed tobą wszystkie swe zatrudnienia i wszystkie znajomości. Dziwne żądanie!

Żądanie w istocie było dziwne, zeznawał to sam a jednak wciąż powracało, tego wieczoru go dręczyć. Dopiero nazajutrz przebudził się z jaśniejszą myślą, że dziś jeszcze będzie się widział z panną Zofią i żadne już dręczące wątpliwości nie przychodziły zakłócać tej myśli.

Anusia jechała uradowana, że rozpocznie dziś z panną Karolą pierwszą lekcję rysunku. Wprawdzie pani Orzełska widziała w tym projekcie raczej zabawkę niż istotną naukę, wiedząc jednak, że sprawi to dużą przyjemność Anusi, która dotąd nie wiele miała rozrywek, przystała chętnie na prośbę dziewczęcia, zastrzegając tylko, aby nie nazbyt nadużywała uprzejmości i cierpliwości panny Karoliny.

Siedząc teraz w powozie przy Władysławie, wypowiadała mu całą radość, jaką sprawia jej myśl o nauce rysunku.

— Zobaczysz, — mówiła doń z oczkami, świecącymi się radością, — zobaczysz za kilka miesięcy namaluję taki śliczny widoczek Kamionki, że można go będzie oprawić w ramki i zawiesić w salonie obok tego obrazu alpejskiego. Nie będzie na nim wprawdzie takich gór i lodowców, ale będzie za to nasz wał i łąka, wszystko w kwiatach, a dalej łąn pszenicy taki świecący się od słońca, jak oto ten w tej chwili.

Władysław, który był tym razem weselszy niż zwykle, przekomarzał się uparcie z sióstrzyczką mówiąc, że napewno nikt na tym obrazku nie pozna Kamionki i ofiarowywał się wypisać wielkimi literami u dołu kartonu: „Kamionka“, zaś pod każdym z poszczególnych na nim przedmiotów odpowiednie nazwy; to „drzewo“ — to „lis“ — a to „kłosy“, aby widzowie nie przyjęli tych rzeczy jedne za drugie.

Dokuczył jej tem wreszcie tak bardzo, że dziewczyna tłumiąc łzy zawołała w końcu:

— Czekaj, czekaj! wymaluję ja i twój portret, a taki brzydki, że nikt na niego patrzeć nie zechce i wiem, co z nim zrobię.

— Naprzykład — co? — zapytał śmiejąc się Władysław.

— Pokażę go pannie Zosi!..

I odsunęła się od niego w kącik powozu i czując się bardzo obrażoną, odwróciła głowę w stronę, aby nie widzieć tego „niegodziwca“.

A on zamilkł także, bo nie spodziewał się, aby ktokolwiek, a tem mniej „ta mała“ mogła dostrzedz jego zajęcia się panną Zosią.

W milczeniu dojechali do Orzechowic.

Wkrótce po przywitaniach panna Karolina zabrała Anusię do swego pokoju, a Władysław z panem Roztworowskim przeszedł do gabinetu, a raczej tak zwanej „kancelaryi“.

Pan Roztworowski odznaczał się w obejściu wielką dystynkcyą i tą uprzejmością ludzi prawdziwie dobrze wychowanych, która tak miłym i pociągającym czyni ich towarzystwo. Odebrał był staranne wykształcenie zagranicą, a po ojcu odziedziczył dość duży majątek; później smutne okoliczności uszczupliły go wielce i dziś był w posiadaniu jednych tylko Orzeszkowic, wiosk niedużej i nie dość intratnej. Umiął się wszakże zastosować do cięższych warunków bytu, jał się szczerze pracy na roli i prawością charakteru zyskał ogólne uznanie i szacunek w okolicy. Światowy jednak polor, zresztą nie powierzchniowy jedynie, lecz będący w części wynikiem wyższej inteligencji, odstręczał od niego niektórych „hreczkosiejów“, tytułujących go „jasnym panem“ i trzymających się zdale od Orzeszkowieckiego dworu. Panu Roztworowskiemu chodziło z początku o popularność wśród szlachty — braci, starał się więc przybliżyć do siebie chociażby kilku jej przedstawicieli, trafiwszy jednak od razu na trudną do przezwyciężenia zaporę, jaką była nieufność i brak dobrej woli w uboższej szlachcie, umiał cofnąć się w porę, aby ująć posadzenia o narzucanie się komuś ze swoją przyjaźnią i stosunkami. Ograniczył się więc do nielicznego grona kilku bliższych i dalszych sąsiadów, z którymi łączyła go wspólność pracy i wspólność interesów duchowych.

Czytał zawsze dużo, poświęcając lekturze czas wolny od zajęć gospodarczych, i starał się być oznajomionym z najnowszymi prądami społecznymi.

Widocznie dawne lata studenckie były miłą epoką w jego życiu, bo w rozmowie z Władysławem często powracał do nich wspomnieniami.

Później zaczął wypytywać Władysława o te-
rażniejsze ideały społeczne młodzieży uniwer-
syteckiej.

— Tak—odpowiedział na jakiś dłuższy wy-
wód etyki społecznej studenckiej, przytoczonej
przez Władysława—demokratyzm, pojęty w ten
sposób, ma w istocie dużo stron szlachetnych,
działających potężnie na umysły młodzieńcze,
spragnione bądź co bądź w życiu jakiegoś idea-
łu i jakiegoś tu osiągnięcia jego dążności. Dużo
jest wszakże w tem fermentu, który przeskaka-
da częstszym i lepszym myśłom skryształizo-
wać się i osiąść na dnie waszej świadomości. Są
to perły, które w późniejszym życiu da się cza-
sem tu i owdzie wyłowić, ale będą już one po-
zbawione tych tęczyowych blasków, w jakie je
przybiera młodzieńcza i żywa wyobraźnia.

— Zadużo macie rozpędu uczuć i rozłotu pra-
gnięć waszych,—ciągnął po chwili,—zamało na-
tomiasz skupienia, zogniskowania waszych dą-
żności w jednym punkcie. Zresztą, jest to cechą
młodości—owo pożądanie zagarnięcia całych
idealnych przestworów na własność, z zupełnem
natomiast zaniedbaniem rzeczy bliskich, a je-
dnak pożytecznych i wykonalnych. Później
zwykle wszystko się zmienia: później patrzymy
na rzeczy tylko najbliższe, zapominając, że po-
za tym obrębem, w jaki zamyka nas ciasna po-
wседневność życiowa, jest jeszcze cały bezkres
uczuć i pragnień bardziej ogólnych i podnio-
ślejszych. Słowem, z idealistów i zapaleńców
stajemy się w końcu najdoskonalszym wzorem
filistrów—i to jest najsmutniejsze. Tkwi w nas ja-
kaś fatalnawylączność, jakaś nieublagananieudol-
ność pogodzenia tych dwu krańców, zhar-
monizowania wewnętrznych pierwiastków ideal-
nych z realnymi warunkami życia. Kiedy na-
stąpi to zharmonizowanie—i czy w ogóle nastą-
pi kiedy? Może kiedyś przyjdzie nowe, inne
pokolenie, pokolenie ludzi dobrej woli, a zara-
zem dość trzeźwych, którzyby badając swoje
idealne grzechy, myśleli o ziemskich dla nich
fundamentach. Dopóki ludzie tacy nie przyjdą,
dopóty społeczeństwo nasze będzie smutnym,
odwrotnym przykładem motyla, zasklepiającego
się w wygodną, ślimaczą skorupę liszki.

Tymczasem pierwsza lekcja rysunku została
ukończoną i panny przyszyły zapytać Władysła-
wa, czy nie zechce im towarzyszyć w zwykłej
przechadzce ich do kamienia w wąwozie.

Przez grabową ulicę, przez furtkę w płocie
młodzież wydostała się na pola i ruszyła ku wi-
dniejącemu zdala białemu kamieniowi, a raczej
skale, do połowy ukrytej w zaroślach na pochy-
łości wąwozu. Szli miedzą, wiedzącą wśród łąk
rosłego żyta i niższej, niedawno wykłoszonej
pszenicy z drugiej strony. Drożyna była tak
wziutka, że trzeba było iść „gęsiego.“ Panna
Karola puściła przodem Anusie i idąc tuż za nią
zwracała co chwila uwagę swej uczennicy na ja-
kiś malowniczy szczegół krajobrazu lub na efek-
ty świetlane, jakie wywoływało zniżone już
słońce, przezierając przez gromadę lekkich na
zachodzie obłoczków. Za siostrą szła Zosia,
a pochód zamykał Władysław, który tym razem
mniej niż zwykle zachwycał się przyrodą, ma-
jąc całą uwagę zajętą wdzięczną postacią idącą
przed nim dziewczyny. Patrzył na jej ciemną
główkę, od której odbijały wpięte we włosy
prosto kwiatki polne, na rozwiewające się końce
jasnego fartuszka, na jej bućki, przyczem zau-
ważył, że były one nieco niezgrabne i z lekka
wykrzywione od częstego chodzenia po polu.
Pomimowoli nasunęło mu się na myśl porówna-
nie z przeciętną Warszawianką: uprzytomnił so-
bie te ściśnięte, wyprostowane kibicie, te szy-
kowne ramiona, te ufryzowane główki i malut-
kie, nieraz aż do przesady trzewiczki, ja-
kich tyle widzi się codziennie na główniejszych
ulicach, a potem znów ogarnął wzrokiem tę ja-
sną i prostą postać dziewczyny, idącą przed
nią, tą wziutką, nierówną miedzą międzyzbo-
żną—i nagle uczuł, że tyle bije od niej jakiegoś
niezrównanego z niczem wdzięku i uroczej pro-
stoty, tylecichego czaru, że wyjść z pod niego już
nie łatwo chyba zdoła.

— Jaka ona jednak inna, zupełnie inna od
tamtych!...—pomyślał w duchu.

A to „inna“ znaczyło: sto razy miłsza i bar-
dziej urocza i prostsza — i bardzo, bardzo już
droga... Myśląc o tem, musiał równocześnie od-
powiadać na pytania Zosi, która właśnie co opo-
wiała mu, jakie to miała dziś z rana zmar-
twienie, gdy nie doliczono się w stadzie ulu-
bionej owieczki, jak jej później sama szukała
w ogrodzie i w zaroślach, i jaka to w końcu
była radość, gdy się owieczka odnalazła gdzieś
w głębi rowu.

Zwróciła się w końcu do Władysława.

— Opowiadał to panu tak szczegółowo, jak
gdyby było to doprawdy jakie wielkie zdarze-
nie... Ale widzi pan, ja tak lubię wszystkie
stworzenia, a tamto takie jeszcze malutkie i ta-
kie ładne, że naprawdę bardzo mi było przy-
kro i płakałabym, gdyby było zginęło... Pan się
ze mnie śmieje — dodała po chwili — i pewno nu-
dzi pana taka ze mną rozmowa zawsze tylko
o rzeczach prostych i zwykłych... W Warsza-
wie przywykł pan do salonowych dowcipów
i flirtu; my tu na wsi musimy się wydawać pa-
nu bardzo zacofanymi i... nudnymi, nieprawdaż?
Niech-no pan powie, tylko tak szczerze?

— Jak najszczerzej odpowiem — odezwał się
Władysław — że nigdy bym w Warszawie nie spę-
dził na rozmowie chwil tak miłych jak z panią...

— Wiem, wiem — zaśmiała się panna Zofia —
że panu o komplementa nie trudno być musie, ale
my znów nie jesteśmy tak dalece naiwnymi, by-
śmy przyjmowały je za prawdę.

— Widzi pani — odezwał się Władysław nie-
co rozżalonym głosem — wyrządza mi pani krzy-
wdę swem posądzeniem. Mówiłem zupełnie
szczerze. Rozmowa, jaką się prowadzi w wiel-
komijskich salonach, bywa co prawda zapra-
wiona dowcipem, ale najczęściej jest czołą, nu-
żącą. Jest to ciągle wysilanie się na błysnięcie
jakim zdaniem świetnym z pozoru, chociażby
próżnem w treści: jest to sztuczna szermierka
słów błyskotliwych, lecz próżnych zazwyczaj,
po której pozostaje znużenie w umyśle, a czołzość
i pustka w duszy i sercu, bo ani umysł, ani se-
rce tem się nie nakarmi. Tyle z tego pożytku, co
zwrzawy świegotliwych wróblu, przyjemności —
czasem mniej jeszcze, co zaś do prawdy — tej
chyba najmniej.

— A pan — czy pan zawsze mówi prawdę?

Odwróciła twarz i spojrzała mu wprost w oczy,
zadając to pytanie tonem nawpół figlarnym.

— Ja — tu się zatrzymał przez chwilę — widzi
pani, stosunki towarzyskie, szczególnie w wiel-
kiem mieście, bywają nieraz tak sztuczne i na-
ciągnięte, że w niektórych razach... kłamstwo
jest prawie nieuniknione.

— I pan kłamie?

— Jeżeli widzę, że prawda nie popłaci — od-
rzekł z żartobliwym uśmiechem.

Byli już przy kamieniu. Przed nimi — ustóp —
zaczynała się dość stroma pochyłość, skryta mu-
rawą i drobnymi krzemieniami, spadająca na dno
wąwozu, który malowniczo wiał się w dół.

Panna Zofia zatrzymała się i obróciwszy się
ku niemu, rzekła:

— Niech pan mi przyrzeknie, że odtąd nigdy
kłamać nie będzie, to tak brzydko! — dobrze?
Będzie pan odtąd zawsze mówił tylko prawdę?...

A on, patrząc na jej zarumienioną ożywieniem
i ruchem twarzyczkę i na te kochane, świecące
się oczęta, uczuł, że powiedziałby teraz ochot-
nie jedną największą prawdę, że jest mu drogą
i miłą, jak nikt na świecie.

Ale uśmiechnął się tylko i odrzekł:

— Dobrze, będę mówił odtąd tylko prawdę.

Usadowiono się pod kamieniem, z kądem w isto-
cie piękny rozlegał się widok na jar, na okry-
wające jego stoki zarośla, na strumień, wijący
się na jego dnie ina drogę, która cokolwiek wy-
żej biegła ponad strumieniem. Rzadkie wozy
wieśniacze ciągnęły po drodze, czasem ukazała
się gromadka wieśniaczek, powracających z są-
siedniej wioski, w ciszy wieczornej załatywały
czasem pomieszane głosy ludzkie i powracające-
go z pastwisk bydła.

— Słyszycie państwo dzwonki? — zapytała na-
raz panna Karola — ktoś jedzie — pewno do nas.
W istocie coraz głośniejszy odzywały się dźwięki
hałaśliwych dzwonek i wkrótce na zakręcie

jaru ukazał się żółty szaraban i para rosłych
szpaków, posuwających się rąco po drodze
w stronę wioski.

— To konie z Zamiechówki — odezwał się
Władysław — poznaję na szarabanie pana Micha-
ła i wiem, co go do państwa dziś sprowadza.
Był wczoraj u nas i umówiliśmy się z nim dziś
spotkać w Orzeszkowcach.

— Może dojrzy nas z dołu.

Władysław począł powiewać kapeluszem ku
nadjeżdżającemu i wołać nań głośno po imieniu.
Widocznie znaki zostały dostrzeżone, bo szara-
ban się zatrzymał i otyły młodzieniec wysko-
czył zeń i zaczął pośpiesznie, o ile mu pozwala-
ła tusza, wchodzić na wyniosłość, pochylając się
przytem naprzód i pomagając sobie kijem, któ-
rego grubość i wytrzymałość zastosowane były
widocznie do ciężaru właściciela. Ruchy i cała
postawa młodzieńca w tej mozolnej wędrówce
były dość komiczne.

— Szkoda — zwrócił się z uśmiechem Włady-
sław do panny Karoli — że pani nie posiada ta-
lentu karykaturzystki, miałyby pani w tej chwili
przepyszny wzór.

— A toż się godzi żartować tak z przyjacię-
la? — zaśmiała się panna Zofia — jaki pan niedo-
bry!...

A Władysław poczuł w istocie coś naksztalt
wstydu z niestosownego żartu i pragnąc zagła-
dzić swą winę, ozwał się po chwili:

— Z tem wszystkiem jest to sympatyczny
chłopak i ma bardzo dobre serce.

— A jaki przytem mazurzysta! — zawołała
panna Zofia.

Władysław uczuł przy tych słowach niby ja-
kieś ukłucie w serce. Nic jednak nie odpowie-
dział, bo pan Michał był już o kilkanaście zale-
dwo-krokw i powiewając zdaleka kapeluszem
wołał głosem przerywającym się ze zmęczenia:

— Witam, witam państwa! Jadąc jeszcze do-
strzegłem zdaleka grupę osób na wzgórzu, ale
nie byłem pewny, czy to są panie. Poznałem
twój głos, Władku.

I począł się witać, oddychając głośno i ocie-
rając chustką obfity pot z czerwonego, rozpro-
mienionego oblicza.

— Bardzo się pan zmęczył, idąc pod górę? —
zapytała panna Zofia; — wyniosłość w tem miej-
scu jest dość stroma, i my, schodząc do jaru, ob-
chodzimy zwykle dalszą, lecz łagodniejszą
ścieżką.

— Nie to, nie to! — mówił przybyły, obwie-
jając się ciągle chusteczką — przywykłem do ru-
chu, ale tu wzgórze w rzeczy samej cokolwiek
jest strome. Za chwilę odpoczne zupełnie.

Usiadł na odłamie skały i zwrócił się do ciele-
go grona:

— Panie zapewne już wiedzą o celu dzisiej-
szej mojej wizyty. Musiał Władek panie o tem
uprzedzić?...

— Przeciwnie — odezwała się panna Karola —
ja przynajmniej o niczem nie słyszałam od pana
Władysława.

— Nie chciałem ci odbierać tej przyjemności
i nie mówiłem paniom jeszcze o niczem — odparł
Władysław.

— A więc pozwolą panie, że wywiąże się od
razu ze swego zadania — rzekł Michał, wstając
z kamienia — mam przyjemność w imieniu rodzi-
ców prosić państwa do nas na wieczór za dwa
tygodnie, w dzień imienia mej matki. Będzie
muzyka i może nieźle się panie zabawią, bo ja
się postaram, aby danserów było dosyć.

— Jak to dobrze! — zawołała z ożywieniem
panna Zofia — myśmy już tak dawno nie tań-
czyły.

— Pozwoli więc pani — odrzekł Michał — że
skorzystam z pierwszeństwa i zaangażuję panią
do pierwszego mazura.

— A panią czy mogę prosić do kotyliona? —
zwrócił się do panny Karoli.

— Tańczę wprowadzić niewiele, ale pierwsze-
mu angażującemu się nie odmawia.

— Dziękuję pani — odparł młodzieniec i zwrę-
cając się do Anusi z ukłonem:

— A panią do walca.

I rozpromieniony powodzeniem, które mu w jednej chwili zyskało aż trzy danserki, odetchnął głośno i otarł znów chustką oblicze.

— Nadużywasz przywileju swego pierwszeństwa, Michasiu—odezwał się Władysław—zaan-gażujesz wszystkich panny, zanim kto inny po-prosi jedną.

— Ależ Władku — bronił się młodzieniec — masz jeszcze tyle następnych tańców: drugiego mazura, polkę, walca...

— Nie w swojej przemawiam sprawie, bo je-śli pamiętasz — tańczy mało i zadowolę się tem, co dla mnie zostanie.

Powiedział te wyrazy jakimś wpół-ironicznym tonem, czego wszakże nie zauważył Michał, za-jęty rozmową z pannami.

— U kogo jeszcze był pan z zaproszeniem—pytała panna Zofia.

Pan Michał zaczął wyliczać nazwiska bliższych i dalszych sąsiadów, zaproszonych na wieczór do Zamiechówki. Zabawa zapowiadała się świe-tnie i zebranie miało być bardzo liczne, jak na stosunki wiejskie. Towarzystwo ruszyło z po-wrotem do domu. Władysław pozostał umyślnie w tyle i idąc ostatni za Michałem, który starał się dawać najbardziej wyczerpujące odpowiedzi na pytania panien co do projektowanej zabawy, czuł w duszy niby jakieś rozgoryczenie, jakiś stan przykry i nieznośny. Starał się stan ten przeanalizować, ale niewiele to mu pomogło. Czuł, że przyczyną jego było to ożywienie pan-ny Zofii i nietajona radość, z jaką usłyszała o projektowanej zabawie, to ohotne przyjęcie zaproszenie Michała do tańca.

— Przed chwilą—myślał sobie w duchu—by-ła taka cicha i taka cała skłonią ku mnie my-ślą, a w chwilę później zapomniła o wszystkim i teraz więcej ożywienia w niej i zajęcia się za-bawą, niż było ciepła w jej słowach ku mnie.

Czuł ztąd gorycz.

Postanowił jednak stłumić ją rozumowaniem na zimno.

— Jakże ja właściwie mam prawo czynić jej ten zarzut—pytał siebie—przecież to taka rzecz naturalna, że młoda dziewczyna pragnie się za-bawić i potańczyć; czym zwaryował, aby mieć jej to za złe? I porwał go naprawdę gniew na siebie samego za tę niesprawiedliwość i krzywdę, jaką jej w myśli wyrządzał. Czuł, że jest względem niej winnym, a jednak gorycz nie usta-piła.

Szedł dalej milczący. Zauważyła to wkrótce panna Zofia i starała się wciągnąć go do ogólnej rozmowy, ale on odpowiadał jej półsłowami. Przez resztę wieczoru pozostał również mało-mówny, chociaż uważał, że Zosię smuci to i dzi-wi. Pod koniec i ona straciła ożywienie i umilkła.

Widział to, lecz pomyślał sobie w duchu z ja-kąś złością niby:

— Dobrze tak! umyślnie będę milczał—niech i ona trochę się posmuci.

Lecz wkrótce schwylił go wielki żal tych ko-chanych zasmuconych oczu i tej uciszonej twa-rzy, i przy pożegnaniu, gdy spotkał się z jej smutnem i jak gdyby niepewnem spojrze-niem, uściśnął jej rękę z podwójnie gorącym uczuciem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z KRAKOWA.

Sezon „ogórkowy”—pustka—„saison morte”, jak mówią francuzi, a jednak obfitość materiału rozpiera granice korespondencji naszej, tak że wybierać musimy to co dla czytelniczek najcie-kawszem być może, odrzucając lub odkładając na później resztę opowiadań naszych.

Powodzie i wystawy zalały nas ku końcowi ze-szłego i w początkach tego miesiąca. O pierw-szych tyle już naopowiadały codzienne, tygo-

dniowe i miesięczne pisma nasze, tak to jest, zresztą, nie wesoły na letnią pogadankę temat, że się z nim szybko załatwimy, zaznaczywszy tylko, że czynna jak zwykle, „Czytelnia dla ko-biet” utworzywszy komitet z pań złożony, po-spieszyła z pomocą dla dotkniętych klęską, a po-moc tem cenniejsza, że bez długich narad i roz-pamiętywań, panie komitetowe objeżdżały naj-bliższe okolice Krakowa, rozdając chleb, odzież, pieniądze, tam gdzie największe znajdowały nędzę.

Obok tych, najsympatyczniejszych bezwątpie-nia, objawów działalności kobiecej, wspomnieć nam wypada o innych wędrówkach do ideału, ujawnionych znów na polu sztuki plastycznej, do której aż nadto zachęty i sposobności znaj-dujemy w tym naszym starym a tak malowni-czym i... malującym Krakowie. Najpierw roz-warła drzwi swoje skromna salka (na Gołębiej) w szkole p. Certowiczówny, gdzie wśród paruset płó-cien i kartonów, zamalowanych we wszelakie barwy i odcienie, lub pracowicie pokrytych ołówkiem czy kredką, spotyka się rzeczy pełne talentu i śmiałości, a tylko stara przypowieśćka, zakazująca mówić co się dzieje w „szkole”, wstrzymuje nas od wymienienia nazwisk mło-dych artystek, które zapewne kiedyś poznać się dadzą szerszemu ogółowi. W dziale rzeźb, mniej licznie reprezentowanym, jak zwykle, zwracała uwagę pięknie wykonana postać Chrystusa zmar-łego, w rodzaju tej, tak dobrze znanej warsza-wianom, w kościele karmelitów (wykonana przez M. Szczaniecką).

Nie dały się wyprzedzić i „Kursa artystyczne im. Baranieckiego”, stawiając nam przed oczy ca-ły szereg mniej lub więcej utalentowanych ar-tystek. I tu również studia, „akta”, portrety, krajobrazy, czasem (ale bardzo rzadko) kwiaty, afisze i t. p., i tu także barwy, impresjonistycz-ny koloryt, obok poprawnych i pracowicie wy-konanych rysunków; tu i owdzie nagroda albo list pochwalny potwierdzają mimowolny sąd pu-bliczności, lub też zwraca jej uwagę na jakąś mniej bijącą w oczy pracę. Kierunek takich mistrzów, jak: Maleczewski, Wodzinowski, Ton-dos, Tetmajer nadaje wybitne cechy talentom młodych adeptek sztuki. A jest ich wiele—bardzo wiele nawet, a w obec tego mimowoli przychodzi nam zapytać o ile takie poświęcenie czasu i zasobów ducha młodzieńczego zmudne, bądź co bądź pracy, okaże się korzystnem w przyszłości, o ile zdoła rzucić promieni ideału w to życie, którego tak znaczną część pochłania. Artystek prawdziwych (jak i artystów, zresztą) mamy bardzo mało; lata zaś całe trawie z uszczerbkiem zdrowia i swobody potę by dojść do pewnego stopnia miennej wprawę i pomy-słowości, — nie oplaci się częstokroć. Dlatego też w gronie utworzonego niedawno w mieście naszym „Koła artystek”, powstała myśl rozwi-jania sztuki stosowanej i to przeważnie opartej na motywach rodzimych, ludowych. Ta myśl nawet przewodniczącą miała pierwszej urzędzo-nej przez młodociane „Koło” ^{wystawie} utworów artystek naszych, która (do 10-go Sierpnia) przedstawiwszy się nam w salach Sukiennic, ma się niebawem pojawić u Krywulca w Warszawie. Niestety, krótkość czasu i zbyt jeszcze nieliczne grono stowarzyszonych nie dozwoliły wykonać na razie powziętego planu, i zamiast sztuki ro-dzimej i stosowanej mamy znów sporo obrazów i obrazków nie dających nam zupełnego wize-runku działalności niewiast naszych na tem po-lu. Braknie imion dobrze już znanych, ponie-waż ich przedstawicielki nie mogły lub nie chciały jeszcze przystąpić do świeżo utworzo-nego stowarzyszenia, a główna inicjatorka za-równo „Koła”, jak i Wystawy, p. Leona Bier-kowska, nie dała ani jednej z prac swych tym-czasem. Widzimy zato kilkanaście obrazów Olgi Boznańskiej, tylokrotnie już odznaczanej zagranicą w Paryżu, chociaż u nas publiczność nie może się dotąd oswoić z jej mglistym, nie-co kolorystem, dziwnymi, czarno błyszczącymi oczami i trudną do uchwycenia subtelnością pędzla. Wręcz przeciwnie okazują przymioty malowidła (przeważnie *portrety*) o łagodnym kolorystyce i starannem wykończeniu Maryi Go-

dlewskiej; jest tam i parę wybornych kopji. Kopje także, ale jak piękne! z Rembrandta i Van Dyka daje nam p. Geppertówna. Wyborne por-trety Pająkówny, dwa wspaniałe pejzaże Stan-kiewiczówny, Józefy Paszkiewicz kawał lasu, który się ogromnie podoba ogółowi, snopy Kar. Bierkowskiej, zresztą prace pań Mien (pastele), Biernackiej „Na chórze”, Krzeszowej „Kwiaty”, Anny Daszkiewicz „Irys” i kilka innych. Z dzia-łu któryby sztuką stosowaną nazwać można, wi-dzimy tylko prześliczny *haft* kolorowy Chlebow-skiej i *tektę* Olszewskiej z wypalaniem. Nie bę-dziem mówili o dorocznej wystawie Szkoły Sztuk Pięknych, żeby już nie wykładać po za ramy utworów kobiecych, chociaż tam nie jeden obie-cujący talent zwraca powszechną uwagę, a wdzię-czny dział krajobrazu rozwinął się ogromnie pod kierunkiem Stanisławskiego.

Na 15 Sierpnia zamierzonym jest trzydniowy „Zjazd kobiet” w Zakopanem. Mają tam być poruszone w odczytach i referatach najrozmai-tsze kwestye ruchu kobiecego dotyczące, a po-dzielone na cztery sekcye: 1-sza s. pedagogiczna, 2-ga pracy zawodowej i zarobkowej, 3-cia spo-łeczno-etyczna, 4-ta zawodowo-literacko-arty-styczna. W tej ostatniej przewodniczą panie: Błotnicka, Geppert i dr. Balicka. Z czasem może zdołamy obznajomić czytelniczki nasze z przebiegiem zjazdu tego; obecnie zaś gotując się do wycieczki w piękne okolice Krakowa, po-spieszymy jak pszczołki zbierać miód z niw krajowych i częstować nim miłe współrodaczki nasze.

M. Swiderska.

Korespondencya z Kołobrzega.

Sierpień.

Gdy o zachodzie słońca siedzę na tutejszym bulwarze nadmorskim, doznaję zawsze podwój-nego wrażenia, — gwar, który słyszę poza sobą, wesoły, ożywiony, różnobarwny, to głośna fala pełnego sezonu kąpielowego; odgłos, który leci ku mnie wprost od morza—to echo dawne, pły-nące z głębi czasu i z głębi wody, echo staroda-wne jak bursztyn ukryty w piasku bałtyckim, z owadem pamiątkowym, przechowanym w jego złotem wnętrzu. I zaczynam poddawać się fali wspomnień i myślę, jak to tu było, naprzykład—tysiąc lat temu? Ten sam piasek wysychał pod pod tem samem słońcem do srebrnawej białości, ta sama huczna fala rwała się z przestrzeni ku brzegom, i ten sam wicher rozrzucał płowe wło-sy ładnych dziewcząt z plemienia Prusów po-morskich. Tylko nie było tu portów wspania-łych, ani parowców, ani latarni morskich; łodzie rybackie snuły się licznie wprawdzie, ale nieda-leko, trzymając się lądu i łowiąc zapas ryb na codzienny użytek osady; i tylko czasem, tam na ostatniej smudze horyzontu pojawiała się ciekawa barka normandzka, a rzadziej łódź duńska, lub germański stateczek. Cisza polityczna panowała tu zupełnie, plemię pierwotne żyło sobie spoko-jnie z niewymagającymi bogami i dość łagodną przyrodą, a jedyna dramatyczniejsza legenda rozgrywała się na tle miłości. Romans to był prosty, gorący i krótki. Na dnie Bałtyku mie-szkała piękna królowa w bursztynowej koronie — Jurata; młody rybak ujrzał ją raz jeden, gdy o wschodzie słońca wypłynęła na fale po-dziwiać zorze poranne; była tak cudowna, że ry-bakowi wiosło z ręki wypadło, zapatrzył się na królową na życie i śmierć i gdy słońce zachodzi-ło, stawił się na wezwanie. Na łódce bez wio-sła popłynął przez głębie i gdy Jurata burszty-nowy włożyła mu pierścień, zapadł się w głębie Bałtyku i nikt go więcej nie ujrzał na rodzin-nym brzegu. Królowa pojawiała się nieraz je-szcze, ale nikt z jej uśmiechu nie odgadł, czy rybakowi dobrze tam w jej kryształowym pała-cu, czy źle...

— Czy to wczoraj było, proszę pani?
— Czy wczoraj?—pytam ze zdumieniem znajomego rodaka, który mi przerwał wspomnienia bałtyckie.

— Nie, panie, tysiąc lat temu.

— Pani? jak to?

— A, prawda, bo królowa Jurata rządziła tutaj przed wieki, nie na lądzie wprawdzie, lecz na najburzliwszej fali serc ludzkich—a panu o co chodzi?

— O wczorajsze polskie zebranie w sali Gesellschaftshausu?

— Udało się świetnie, przeszło sto osób wzięło udział, poznałomiono się wzajemnie, młodzież w dwadzieścia cztery pary wtańczyła się do godziny dwunastej i pod najlepszym wrażeniem rozeszli się uczestnicy, wdzięczni doktorowi B. z Warszawy za dobrą inicjatywę w tej wspólnej zabawie.

— A królowa Bałtyku była na zebraniu? bo słyszałem, że wieczór ten miał królowę?

— Tak.

— A z kąd się pojawiła?

— Ja nie wiem.

— Z Warszawy?

— Nie.

— A jakże wygląda?

— Jak gwiazda polarna, ma wielkie, łagodne promienne światło...

— Pójdę na drugie polskie zebranie, kiedyż będzie?

— Już było! Obraliśmy sobie środy, od godziny 8 wieczorem do 12; później nie, bo dużo osób się leczy i snu potrzebuje.

— A pani tu długo już siedzi nad brzegiem?

— Dopiero godzinkę, ale przebywałam myślą w bardzo dalekich czasach, kiedy śmielsi z młodzieży pruskiej robili wycieczki za Szczecin na Rugię, do Danii i przywozili cudowne baśnie o śmiałości Jumskich braci i ich wyprawach i przygodach.

— A nasza młodzież dziś nie miałaby tej odwagi co tamci junacy?

— Nie wiem panie... O, na przykład pan, pan też pewnie pięknie tańczy, odważnie prowadzi mazura, znakomicie kieruje kadrylem, ale czyby pan przetrzymał taką próbę jak jeden z najmłodszych Jumskich towarzyszy!

— Jakaż to próba?

— Młody towarzysz przestąpił jakieś drobne prawo rycerskiego zakonu, miano go ukarać śmiercią; przygotowano wszystko do wykonania wyroku: pień, siekiere, starszyzna się zebrała, winowajca wszedł na plac wyroku, przybrany jak na gody; zwyczajem odwiecznym, długie włosy ufrizonowane starannie, spadały mu na piękną szatę i zbroję. Sędzia zapytał młodzieńca: „czego cheesz, jedno twoje żądanie może jeszcze być spełnione w życiu!” Towarzysz Jumski odparł najspokojniej w świecie: „proszę, aby kat uważnie mi głowę odcinał i nie dał jej zlecieć na ziemię, boby się włosy moje dotknęły pyłu i kurzu tej ziemi, nad którą duch mój już się unosić będzie.” Potem uklonił się zręcznie swym sędziom i lekkim krokiem podszedł do pnia. Za chwilę piękna głowa już pobladła na wieki, a w głowie tej ani na chwilę nie powstał bunt przed zbyt może surową karą za jakiś wysoki pacholecej niekarność. I cóż, panie, zapisze się pan do towarzystwa Jumskich braci?

— Wolę należeć do polskiego koła w Kołobrzegu.

— Ale jeżeli pan będzie niekarnym?...

— No, to mi może głowy nie utniecie od razu.

— Kto wie? Chyba że ja pan pierwej straci, jest przecie całe grono ładnych panien.

— Tak... tak... są ładne i przystojne... cóż, kiedy te panny w ogóle to taki trudny żywioł... to jak fala, raz tak, to znów owak, raz cicho, to znów szumi raz potulna, to znów burzliwa, raz ciemna, że jej przejrzeć nie można, a raz ci błękit taki cudowny pokaże, że myśli człowiek, że już niebo się dla niego otwiera, wyciąga ręce; a tu powierzchnia się mroczy i znów masz przed sobą głębię, tajemnicę, zagadkę! Ach, pani, to męczy w końcu najpocziwszego człowieka!

— A wy czy dobrze, czy trafnie, czy pocziwie sterujecie po tej głębi? Stoicie nad nią, pa-

trzycie, robicie sobie głośne uwagi, ciskacie drobne kamyczki na gładką powierzchnię i nie umiając wiosłować, puszczacie się na fale, a co gorsza, robicie przyjemne wycieczki na głębie dusz dziewczęcych i cofacie się potem na stały ląd kawalerski, cóż dziwnego, że głębia się oburza i maści wam obraz swej rzeczywistej istoty. Czekajcie u panien na falę rzeczywistego wrażenia i uczucia, wtedy zarzucicie kotwicę nie po to, żeby ją z ufnego serca dziewczyny wyszarpnąć boleśnie, ale żeby tam utkwiała i była wam miłą i pewną przystanią...

— Tylko to trudno, proszę pani, tak zaraz myśleć o stałym i bezpiecznym porcie, człowiek by się chciał pobawić trochę...

— Można się bawić z kimś zawsze, ale kimś nigdy. Inaczej, to utniemy panu głowę, jak pan się zjawi we środę na naszym zebraniu!

— Zawsze z oszczędzeniem moich pięknych kędziarów na głowie? Nieprawdaż?

— A miał je pan choć dzieckiem będąc?

— A, wtedy miałem... dziś niestety...

— No, desperować nie trzeba, wybaczymy dużo pana głowie za to wszystko, czego pan w życiu przez pracę, samodzielność i wytrwałość swoją dokonał...

— Dziękuję serdecznie, w każdym razie bohaterem sezonu nie będę...

— Bohatera już znam...

— Tak? któż to taki? ciekawym?

— Ach, taki miluchny, taki ładny...

— Ależ kto to jest, pan!

— Taki mały, biedny...

— Taki mały, taki biedny, któż to jest?

— To także historia krótka, ale dramatyczna.

— Może także z czasów Juraty?

— Nie panie, to rzecz świeża... Przyjechał tu Polak, zakochał się w Niemce, poślubił ładną pannienkę i pojechali. Dziś, po lasku nadmorskim jeździ błękitny wózek, popychany przez pocziwą nianię krakowiankę, a w wózeczku pod niebieską kolderką leży śliczny chłopaczek, ma dziesięć miesięcy ioczyduże, smętne, niebieskie, nadwiślańskie oczy...

— I to jest ów bohater sezonu?

— Tak panie, dla mnie to bohater, o jego niemowlęcą główkę toczy się spór, a główka to już sieroca, bo matka dziecka umarła. Ojciec chciałby go mieć Polakiem, rodzina matki Niemcem, a małeństwo lekko wzdycha za błękitnymi firaneczkami, trochę blade jest i uśmiecha się jakimś zaświatowym wyrazem prośby i tęsknoty...

— A za czemże taki drobiazg tęsknić może?

— Za wszystkim, czego mu już brak, za wszystkim, po czem już jest sierotą... za matką, za miejscem rodzinnym, z którego los go wyrwał, za ojcem, którego już rozpoznaje, za tem przeznaczeniem, które każdy świadomie lub jeszcze bezwiednie w sobie przeczuwa...

— Ależ pani, taki dzieciak czułby już to wszystko?

— Instynktownie wszystko czuje, a zresztą, jeśli pan mi nie dowierza w tem psychicznym twierdzeniu, niech pan zapyta jego niani, ona zaraz panu odpowie:

„Oj, wielmożny panie, ten robocek wszystko czuje, jeno że wymówić nie może; onby chciał do domu wrócić, do tatusia, bo tu nijak się przyzwyczaić nie może; niemcy, by go na niemracha przerobić chcieli, a on taki polaczek mój złoty, biedny sierotka...” I pocziwa kobiecina łączyła w oczach i wzdycha: „Oj, żeby tyz to pan nas już zabrali ztąd duchem.” Pocieszałam ją, że pan pewnie przyjedzie, na czołe małego zrobiłam krzyżyk rodzinny i witam zawsze malutkiego bohatera, ile razy go spotkam na tej drodze. Czasem mnie samą niecierpliwość ogarnia—czy ten ojciec przyjedzie, czy prędko przyjedzie, czy aby ten nadwiślański sierota „niemraczkiem” się nie stanie w przyszłości? Ot, widzi pan, właśnie jedzie bulwarem nadmorskim mały wózek; błękitna łódeczka, pełna splecionych przeznaceń...

— Wszyscy tak jedziemy bulwarem życia, brzegiem otchłani, wśród krzyżujących się zagadnień,—ale dosyć, to za smętne na pełny se-

zon kąpielowy, nuż zwiędzimy jutro tutejszą katedrę, którą warto widzieć—czy zgoda?

— Dobrze—zatem do widzenia.

Szczesna.

LISTY MARTY DO MARYI

przyczynek do kwestyi kobiecej

podług

Pawła Heysego.

skreśliła

S. W.

(Dokończenie).

LIST VII.

Obchodzimy święto Św. Trzech Króli. Dziś przy obiedzie jedliśmy tort z migdałem, gość nasz został królem migdałowym i musiał się zadowolnić prócz swojej królowej, jednym tylko podwładnym.

Teraz chcę pogawędzić z Tobą, gdyż panowie poszli na spacer. Katarzyna wyszła, a w domu została tylko kinia i ja. Na dworze cicho, słonce jasno świeci, a w duszy mojej cicho, jasno i ciepło. Kącik pokoju, gdzie moje biurko stoi, wygląda jak podzwrotnikowa altana; stoją na biurku dwie piękne palmy i wspaniałe storczyki a pomiędzy nimi przepyszny krzak róży z nawpół rozwiniętymi kwiatami — Maréchal Niel, których woń czarowna unosi się w powietrzu.

Nie posądzasz mnie z pewnością, że ja sobie te zbytki za oszczędzone z gospodarstwa pieniądze kupiłam, lub też że mój Helmut był tak nierozsądnym, i mnie taką zbytkowną gwiazdką obdarzył. Ta cała wspaniałość pochodzi od gościa. Musiał nam przyrzec, gdyśmy go zapraszali na wigilię Bożego Narodzenia, że nam żadnych prezentów nie zrobi. Ale kwiatek przebież pani pozwoli sobie ofiarować, zapytał rumieniąc się. Tego nie mogliśmy mu odmówić, to też nadużył tego pozwolenia. Ja się na seryo rozgniewałam. Ale gdy ujrzałam jego dziecienną radość, że mój pusty kąt do pracy tak wspaniale ozdobił, musiałam się dać przebłagać.

Katarzynie na gwiazdkę złoty zegarek podarował, o mało z radości rozumu nie straciła, tem więcej go uwielbia od chwili kiedy jej powiedział że makaron przyprawia wspaniale. Ale muszę Ci też powiedzieć nareszcie, czem mnie ten dobry człowiek najbardziej zobowiązał. Było to w listopadzie, dzień był dżdżysty i ponury. Męża wezwano na wieś, miałam więc długo jeszcze na niego czekać. Chcąc rozproszyć dręczące mnie nudy, wzięłam z biblioteki męża książkę, której tytuł mnie już dawno zaciękawiał, pomimo iż Helmut mi powiedział, że to dzieło nie dla mnie. Była to „Krytyka zdrowego rozsądku” Kanta. Gniewało mnie to trochę: więc nam kobietom nie wierzą, że potrafimy pojąć to co jest rozsądek! Rozdrażniona chciałam memu dumnemu małżonkowi niespodziankę zrobić, i dowieść, że ja tę książkę rozumiem. Ale rzeczywiście nie nie rozumiałam. Wyrazy a priori, syntetycznie, analitycznie i t. d. kręciły mi się w mózgu, nie dając o sobie dokładnego pojęcia. Byłam jak opuszczone dziecko, które uciekło do lasu i, nie wiedząc gdzie się udać, czy w tę czy w tę stronę, siada na kamieniu i zaczyna płakać.

Wtem otworzyły się drzwi i wszedł L. Chciał Helmuta rady w czemś zasięgnąć, a gdy mnie z mokremi oczyma nad książką zobaczył, zapytał żartobliwie, czy romans mnie rozczulił? Zadowolona, że mogę się poradzić wykształconego człowieka, wyznałam mu powód mego zmartwienia. Słuchał mnie ze współczuciem. Pani małżonek ma rację rzekł, wreszcie ta książka może dla pani na zawsze być książką zamkniętą

LIST VIII.

15 Stycznia.

List Twój nadszedł w tej chwili. Odkładam Sokratesa, który mnie zajął, aby Ciebie uspokoić.

Lękasz się niepotrzebnie. Gdybyś była obecną mojej nauce, nie przyszło by ci nawet na myśl, że moje szczęście może być choć na chwilę wystawione na niebezpieczeństwo. L. jest tylko nauczycielem, który moją głowę zajmuje, a nie moje serce. Dla niego ja jestem matką, która, pomijając kwestye filozoficzne, pod względem powagi doświadczenia i życiowej mądrości daleko wyżej stoi od niego i jest żoną jego przyjaciela, któremu on życie i zdrowie zawdzięcza. Mąż mój jest jedynym nieograniczonym panem i władcą w moim sercu, a pomiędzy mną i L. nie może być mowy o innym jak o braterskim uczuciu. Nie myślemy nawet o platonicznej miłości, co najwyżej o „miłości rozsądnej” takiej jak ją Spinoza rozumiał.

Nie lękaj się więc niczego.

Farewell, dearest!

Twoja wierna Marta.

LIST IX.

18 Lutego.

Jakże ja się przed Tobą mojego zaślepienia wstydzę muszę. Ty byłaś bardziej przewidującą odemnie! Wahałam się przez kilka dni, czy Cię mam wtajemniczyć w to co nie było własną moją winą, lecz winą człowieka, który Ci jest obcym. Ale Ty byś się domyśliła, że ukrywam przed Tobą jakąś tajemnicę i przypuszczałabyś coś gorszego niż w rzeczywistości się stało.

Bądź spokojna, Twoja Marta mogłaby Ci śmiało w oczy spojrzeć. Tylko zasmuciło mnie to, że najidealniejsze stosunki ludzkie, wobec niestałości wszystkiego co ziemskie, nie są pewnymi, i kto myśli że mieszka w trwałym domu, przekonać się może że jedno wstrząśnienie obali je zdoła i wzburzyć niewinny spokój jego mieszkańców.

Podczas tych czterech tygodni, które minęły od listu, który do Ciebie pisałam, szło u nas wszystko zwyczajnym trybem. Nawet Helmut nieraz wyrażał swoje zadowolenie, że moje wolne godziny tak korzystnie są zapelnione. Kazał sobie nawet czasami z mojego kajetu to jeden, to drugi rozdział przeczytać, i czynił swoje spostrzeżenia. I on w swoich uniwersyteckich latach namiętnie się zajmował filozoficznymi problemami, i starał się poznać najgłębsze zagadki świata. On i L. często rozprawiali o tem czy właściwie metafizyka jest możliwą, gdyż nasz ograniczony mózg nie potrafi sobie jasnego pojęcia tworzyć o tem wszystkim co sięga poza obręb nieskończoności. L. dowodził że umysł ludzki zdolny jest wznosić się na wyżyny. Ja słuchałam uważnie tych rozpraw, i cieszyłam się że rozumiem to, o czem mówią mądrzy ludzie. I byłam dumna z mego męża, który zręcznie i logicznie zbijał dowodzenia swego przeciwnika.

Dostrzegłam przytem że usposobienie L. zmieniło się; z wesołego stał się drażliwym i posepny, chociaż zdrowie jego polepszało się z dniem każdym. Narzekał często że źle sypia. Helmut chciał, aby rozpoczął fizjologiczną rozprawę odłożył. L. obiecywał być posłusznym swemu lekarzowi, ale ja go posądzałam że on pomimo to bezustannie pracuje.

Podczas godzin nauki nie był również takim jak przedtem. Zamyślał się bawiąc się machinalnie nożem od przecinania kartek. A gdy go żartobliwie zapytałam o powód jego troski, odpowiadał tylko westchnieniem. Ręka, którą mi podał na pożegnanie, była zimna jak lód. Patrzył na mnie tak badawczo, jakby chciał na dnie mej duszy czytać. Potem rzekł: „Wybacz pani—nie zdrow jestem. Muszę pochodzić, będę lepiej spał”

Z początku wcale o tem nie myślałam, był to bowiem człowiek chory na nerwy, należało więc być pobłażliwym na jego dziwactwa.

Ale pewnego po południu—był to ostatni wtorek, gdy przyszedł jak zwykle na naszą lekcję, zaczął gładzić swoją długą, czarną brodę, a ja drażniłam go mówiąc, że pewnie cała jego filozofia w tej brodzie tkwi, z której ja musi wygarnąć, — lecz on nie rozśmiał się z mojego żartu, tylko wstał i podszedł do okna, odwilżywszy ręką lekko zmarzniete szyby. Na ulicy nie było widać, coby go zainteresować mogło. Czekaliśmy przeto trochę niecierpliwie, aby rozpoczął swój wykład; lecz on widocznie zupełnie zapomniał, w jakim celu przybył.

Zapytałam go nareszcie, czy się czuje zmęczonym, w takim razie może lepiej, aby się nie trudził wykładem, lub może przynieść mu kieliszek wina, dla pokrzepienia sił. Czy pan znowu źle spał?—zapytałam.

Zwrócony wciąż do okna, odpowiedział mi: „Czy ten może źle spać, który wcale nie sypia?” Gdyby mi pani mogła butelkę wody Letejskiej dać, tobym był pani wdzięczny. Lecz i to nie, bo nie chciałbym z niej pić.

Przestraszyłam się naprawdę. W takim stanie jeszcze go nigdy nie widziałam.

„Kochany przyjacielu — rzekłam mu—dzisiaj nie będziemy filozofować i nie prędzej rozpoczniemy studia, aż to rozdrażnienie minie. Musi pan z moim mężem pomówić i być mu posłusznym. Tak pozostać nie może, pan sam to widzi.

„Widzę i rozumiem, szepnął. Stary Spinoza nie ma racji, gdyż rozumieć i chcieć nie jest jedną i tą samą rzeczą. Z tej choroby która mnie napadła, ja nie chcę wyzdrowieć. Nadal żyć bez niej byłoby gorzej, niż umrzeć na nią!”

„Chodź pan—odpowiedziałam — i siadź przy mnie, pomówmy rozsądnie, albo ja za pana rozumować będę. Musi to nauczycielowi pochlebiać, że jego uczennica mądrzejszą się stała od niego, chociażby tylko dopóty, dopóki on jest chory. Więc wymagam, ażeby mi pan wyraźnie powiedział, jak się pan czuje i od swojej opiekuńki posłusznie przyjął macierzyńską radę.”

Wtedy on się powoli odwrócił od okna, utkwil we mnie wzrok tak dziwny, że zrobiło mi się zimno i gorąco, postąpił kilka kroków naprzód, i zanim się spostrzegłam, leżał u moich nóg i obejmując je, wybuchnął konwulsyjnym płaczem.

Byłam tak przerażona, że nie mogłam myśli zebrać, nie pojmowałam co ten wybuch znaczy. Rzekłam szeptem: „Co pan robi? Wstawaj pan. Pan rozum stracił chyba! Jak pan możesz!...”

Zdawało się, że mnie nie słyszy. Kilka minut płakał i jęczał jak człowiek, ciężkiem dotknięty nieszczęściem. Dopiero gdy mi się udało uwolnić się z jego objęć i wstać z krzesła, odzyskał przytomność. Z wysiłkiem zerwał się z kłeczek i stał przede mną ze spuszczonei rękami i pochylonem czołem, jak biedny grzesznik, który oczekuje na swój wyrok.

Byłam tak zmieszana, że nadaremnie szukałam odpowiedzi, w tem on się odezwał:

„Niech pani nie mówi, pani Marto! Ja wiem wszystko, coby mi pani powiedzieć mogła. I ja także pani wszystko powiedziałam. Ponieważ czuję, że nie miałam prawa do tego, że ja w pani oczach się zhańbiłem, że jestem nikczemnym człowiekiem, że jestem nędznikiem, który miłość i dobroć najszlachetniejszych ludzi sponiewierał, dla tego muszę się sam osądzić i na wieczne wygnanie skazać. Pani i jej mąż wybaczą mi kiedyś. Ale wierzę mi pani, że pokuta, na jaką się skazuję, że pani już nigdy nie zobaczę, jest męczarnią, na którą zbrodniarz skazany na najcięższą karę, nie chciałby się zamienić. Żegnaj panią! Nie mam śmiałości nawet panią o rękę na pożegnanie poprosić. Niech pani nie nie mówi. Chcę pani głos ze sobą zabrać takim, jakim go na ostatku słyszałam, pełny współczucia i troski o nieszczęśliwego.”

Zanim jeszcze oprzytomniałam, nachylił się on do mnie i ująwszy rękaw od sukni, pocałował go. Potem wybiegł szybko; słyszałam jak Katarzyna mu kapelusz i płaszcz na schody wyniosła.

Miałam go już nie zobaczyć. Pod wieczór przyszedł list od niego do mego męża z za-

siedmioma pieczęciami. Są i mężczyźni, którym trudno ją zrozumieć, chociaż są ludźmi wykształconymi. Myśląc kobieta może ją pojąć, jeżeli wytrwale nad sobą pracować będzie. Byłoby to dla mnie największą radością, gdybym mógł być w tym względzie pani przewodnikiem; przypuszczam, że małżonek pani na to się zgodzi. Pomimo wysokiego pojęcia jakie ma o pani, należy on do liczby mężów, którzy myślą, że męczące dociekanie zagadek świata, ściiera wdzięk i usuwa uczucie z duszy kobiecej”.

Pojmujesz, najukochańsza, jak mnie te słowa uszczęśliwiły, zwłaszcza że znając Helmuta, byłam pewna że mi nie zabroni pracować nad nauką. Gdy mąż mój wieczorem do domu powrócił, ja i gość mój powiedzieliśmy mu o naszym projekcie wspólnych studiów naukowych. Z początku śmiał się z tego, ale gdy mu L. powiedział co o tem myśli, przekonał go z łatwością; żałował tylko że sam nigdy czasu nie miał, aby memu „duchowemu głodowi” dostarczyć pokarmu.

Naturalnie dowiedział się teraz dopiero, że i ja miałam to przekonanie, że kobieta nie samym tylko chlebem żyje.

Na drugi dzień po obiedzie zaczęły się nasze naukowe studia i bez przerwy trwały codziennie. Nowy świat otworzył się przedemną gdy się dowiedziałam, jak w najdawniejszych czasach świata greckiego, mądrzy ludzie się starali, tę ogromną rozmaitość wiedzy razem zebrać. Najsamprzód badali wodę, powietrze, ziemię i ogień, jako pierwiastki świata, potem przeszli do więcej duchowych wyobrażeń, do uczuć miłości i walk duchowych. I tak doszłam aż do idei Platona.

Nigdy w życiu nie czułam większego zadowolenia wewnętrznego, jak gdy powoli tyle ciemnych pojęć w mojej głowie się rozjaśniło. Duch mój budził się z uspienia, postacie wielkich mężów i myślicieli rysowały się jasno w moim umyśle.

Nie powiem, że zaraz wszystko pojęłam, ale walka o zrozumienie nauki nie była przecież bezowocną i beznadziejną i codziennie uczyłam się czegoś więcej, i wreszcie rozumiałam co znaczył ten wspaniały sztych „Szkoła z Aten”, który wisiał nad biurkiem mego męża. Wiedziałam co znaczą przedstawione na nim postacie. Codziennie przed południem gdy załatwiałam gospodarskie zajęcia, pisałam to, czego nauczyłam się wczoraj.

Przed lekcją odczytywałam ćwiczenie. L. rzadko kiedy miał co do poprawienia co mnie niezmiernie cieszyło. Pani Meto, rzekł, jeżeli my cały kurs skończymy, to mi pani musi dać swój kajet. Ja zreaguję go cokolwiek, gdyż jestem tego zdania, że jest to rzecz odpowiednia do druku. Słyszając to nie posiadałam się z radości.

L. miał na artykule położyć swój podpis.

Było to dzieło filozoficzne dla kobiet.

Kto wie, rzekłam, czy ta studentka na dobrą cenzurę od pana zasłuży, skoro dojdziemy do nowszego czasu, np. do Spinozy, przed którego filozofią czuję strach, jak przed bezdenną przepaścią, ponieważ go okrzyczano heretykiem, który nawet tak jasnych myślicieli jak Lessing przeinaczył.

„Pani się przokona jak bezzasadnym był ten strach, jeżeli pani pozna lepiej tego myśliciela. On wcale heretykiem nie był”.

Wybacz najdroższa, może Cię znudziłam. Teraz mniej pisać będę. Kajet większą część wolnego czasu mi zajmuje, a gdy jeszcze mowa o wydawnictwie, muszę inaczej pracować niż wtedy gdy tylko notatki dla siebie robiłam.

Powinszuj mi szczęścia najukochańsza; znalazłam nareszcie to czego mi potrzebbał

W każdym razie jest to nagroda za odmówione mi szczęście, za co Bogu nie umiem dostatecznie dziękować.

Twoja Marta.

wiadomieniem, że go niespodzianie telegrafem do kraju wezwano. Ztamtąd napisze więcej.

Ośm dni upłynęło. Obiecany list nie przyszedł. On nigdy nie przyjdzie, powiedział Helmut: I cóż by on nam jeszcze miał do powiedzenia?

Jednakże nie powiedziałam ci jeszcze najgłośniejszej rzeczy, że mój kochany mąż zachowywał się w obec całego zdarzenia spokojnie i łagodnie.

Znalazł mnie, gdy godzinę później do domu powrócił, w opłakanym stanie. Przeląkł się, bo pomyślał, że nagle zachorowałam. Gdy mu opowiedziałam, co mnie spotkało, a potem zalałam się łzami, spojrzął na mnie z najgłębszym współczuciem i rzekł:

„Biedne dzieci! Przyszło jednak to, czegom się obawiał!” Ja spojrzalam na niego i zapytałam: „Widziałeś, że to się zbliża, dla czego mnie nie przestrzegłeś?” „Bo byłem pewny ciebie, po nim zaś spodziewałem się, że znajdzie siłę, by nad sobą zapanować, chociażby tylko przez obawę zawstydzienia, którego mógł się spodziewać, znając ciebie. Gdybym ja się w to wdawał, gdybyś ty go od siebie oddaliła, wtedy mógłbyś sobie wmawiać, że ty się obawiasz niebezpieczeństwa. Szkoda człowieka, ale my mamy naukę, aby na przyszłość rozsądniej postępować.

Mąż mój przez cały wieczór był wesoły i troskliwy; nie mówił o tem co zaszło, opowiadał tylko o wypadkach chorób, które obserwował w ciągu ubiegłego dnia.

Wreszcie rzekł mi: „Wiesz dziecko, co byś ty robić mogła? Mnie cokolwiek dopomóż. Dla człowieka niezdrowo żyć tylko umysłem życiem, można przecież być czynną i użyteczną; tyle nędzy jest na świecie... Zajęcie takie daje wewnętrzne zadowolenie. Nie chcę cię zachęcać, abyś zakładała stowarzyszenia lub przytulki, gdyż na szczęście możesz mieć bliżej przy mnie dość zajęcia, towarzysząc mi do ubogich chorych. Ja często widzę, że moi chorzy są ubogimi i pomagam im pieniędzmi. Ale kobieta rozumiałaby to lepiej, i często cokolwiek bielizny i zapasów kuchennych więcejby nędzy zapobiegło, niż pieniądze. My przecież mamy na to.”

Trzeba ci wiedzieć Mary, że my w tym roku lepiej stoimy finansowo. L. tak chwalił przed swoimi dobrymi przyjaciółmi swego genialnego lekarza, że mnóstwo bogatych jego współrodaków do niego o poradę się zwróciło. W krótkim czasie dom mego męża stał się rodzajem prywatnej kliniki, i gdyby zechciał, mógłby łatwo zostać lekarzem modnym. Wierzaj mi, że ta korzystna praktyka jest mu tylko dla tego pożądana, że daje możność pomódz tam, gdzie nie lekarstwo z apteki jest potrzebne, lecz pomoc życzliwa.

Zaraz następnego dnia pojechałam z nim na wieś, gdzie szerzyła się szkarlatyna. Gdy wieczorem wróciłam do domu, miałam serce i głowę tak przepełnione obrazami nędzy, którą widziałam, że do filozoficznych studiów już nie miałam pociągu.

Mąż mój nazywa mnie swoim „asystentem.” Jestem dumniejsza z tego tytułu, niżbym mogła przed moim nazwiskiem dopisywać tytuł „Dr. filozofii. Pomagam mu także w przyjmowaniu pacjentów, bandażując, podając wodę, lekarstwa albo opatrunki. Z początku było to dla mnie przykre zajęcie, potem je polubiłam.

Czasami myślę, że to także jest zasługą, filozofię z nieba na ziemię przenieść, pomimo że Sokrates nie z tem nie ma wspólnego.

A więc, najdroższa moja siostrze, żegnaj się na chwilę.

Mało mam czasu na listy, zeszyt naukowy le-

ży na półce nietknięty. Helmut wprowadzi twierdzi, że ja go jeszcze kiedyś wyjmę, aby w dalszym ciągu pisać, jak będziemy starsi i gdy on już nie będzie miał siły wyjeżdżać podczas zawieruchy. Zresztą on sam chce swoje stare uniwersyteckie zeszyty przeglądać i spróbować tę nieć dalej ze mną praść, gdzie biedny L. ją przerwał. Teraz nie pragnę tego wcale. Ale on może ma i rację, że z chwilą gdy trzeba przestać być czynną, należy Bogu dziękować, gdy się ma zdolności rozważania objawów światowych.

Ściskam cię, najdroższa, i dziękuję ci za twoją dobroć i cierpliwość, z jaką tak często moje listy czytasz. Ucałuj twoje dzieci i pomyśl o twojej

Marcie.

LIST X.

W rok później.

Chciałam ci dopiero napisać, gdy już wszystko szczęśliwie przejdzie. Lecz twój czuły list dowodzi mi, że tęsknisz za mną, muszę więc pisać.

Tak najukochańsza, moje najgorętsze życzenie się spełnia, wkrótce zostanę matką!

Od dwóch miesięcy Helmut swemu asystentowi tylko jeszcze w domu dawał zajęcie. Wyjeżdżać mi nie pozwolił. Oprócz tego troska o małą wyprawkę mało mi czasu dla moich pacjentów pozostawiała. Powiadają, że uszyć wyprawkę w domu, to szczęście zgotować dziecięciu. O! a ja pragnę, aby moje dziecię szczęśliwym było. Szkoda, że ci nie mogę pokazać tej wyprawki, tych koronek i haftów, w których moja dziewczynka ślicznie wyglądać będzie.

Pragnę mieć córkę, z synem miałabym kłopot, nie mogłabym go wcale uczyć po łacinie; często zazdrościłam matkom, które znają łacinę i grecki, i swoim synom przez pierwsze lata szkolne pomagać mogą. Dziewczynkę wychowam tak, aby ją ustrzedz od przykrości, na którą pomimowoli naraziła się jej matka, do tego czuję się powołaną i zdolną. Chyba, że moja córka nie będzie miała zdolności do poważniejszych nauk.

Ci mądrzy mężowie, którzy w tem różnicę między kobietami i mężczyznami widzą, zapominają, że i przeważna liczba chłopców do wyższych nauk nie ma zdolności i z trudem kursa uniwersyteckie przechodzi.

Jeżeli zaś moja mała dziewczynka będzie miała zdolności i zajmować się będzie czemś więcej niż kobiecemi fatalaszkami, to po ukończeniu szkoły narodowej będzie mogła iść do szkoły wyższej, które nie wątpię, że będą już założone w większych naszych miastach, jak to we wszystkich krajach oświeconych ma miejsce.

Bawaria jest zacofana i stoi niżej od reszty państw niemieckich, nawet od Austrii, gdzie przeciwni są wyższemu wykształceniu kobiet. A jednakże niedawno — ty to może także w angielskim piśmie czytałaś — minister oświaty w Wiedniu przy sposobności doktoryzowania się kobiety, wyraził się bardzo przychylnie o wyższym wykształceniu kobiet. O tem może nie wiesz, że oddawna w Monachium pracują nad utworzeniem gimnazjum żeńskiego. Związało się stowarzyszenie przed trzema laty, do którego wielu mężczyzn i kobiet należy, chociaż starania jego dotąd do celu nie doprowadziły. Trudno jest w tym razie uzyskać zezwolenie rządu. Gdzie księżniczka domu królewskiego jest członkiem akademii wiedzy, to muszą przecież i w naj-

wyższych sferach nie wątpić o zdolnościach kobiecych. Ty znasz niezawodnie historyczne dzieła tej wykształconej lady Blenner Hasset, która jest rodem z Monachium. Czyżby i ten święty przykład kobiety, która jest uważaną na równi z największymi uczonymi, nie zwalczył przesady?

Mam nadzieję, że gdy moje dziecko dojdzie do lat podlotka, to nie będzie potrzebowała jeździć po zdobycie wyższej wiedzy do Berlina, Karlsruhe, Lipska, Wrocławia, Wiednia lub też do Zurichu. Gdy skończy nauki, zostanie dobrą żoną, mądrą gospodynią. Nawet mam nadzieję, że nie będę potrzebowała jej do Monachium posyłać, ponieważ będzie mogła kształcić się w naszym mieście. Tym sposobem nie będzie zmuszoną dwanaście godzin siedzieć przy maszynie do szycia, przy telegrafie lub buchalterii.

Tym razem dosyć. Pisanie mię męczy. Mam nadzieję, że przyszedł list mój zakomunikuje ci wesołą nowinę.

Całuję cię z duszy, twoja szczęśliwa, a jednak obawiająca się

Marta.

P. S. Pytałaś się o L., czy on nie o sobie nie dał znać. Zaraz po jego rozłączeniu się z nami przyszedł list od niego do mego męża, z cze-kiem na bardzo wysoką sumę, wraz z biletem wizytowym, z wyrażeniem serdecznych dzięków. Helmut natychmiast odesłał i odpisał, że od przyjaciela i kolegi za poradę lekarską honorarium się nie przyjmuje.

Przed pół rokiem czytaliśmy w gazecie wiadomość następującą: „Wysoce uzdolniony uczony dr. L. został w pojedynku z hrabią W. śmiertelnie ranny i na drugi dzień umarł. Powód do tego pożałowania godnego pojedynku, była rywalizacja o względy damy z baletu.

Co ja przy tej wiadomości odczułam!

Drugi dopisek (nie kobiecą ręką pisany) dwadzieścia cztery godzin później zawierał następujące wyrazy.

O przyjściu na świat zdrowej dziewczynki zawiadamiają wysoce uradowani

Dr. Helmut Born i

Marta Born z domu Körti.

Ponieważ Marta sobie życzy, aby jej kochana Mary wcześniej niż wszyscy inni przyjaciele i znajomi o tej nowinie się dowiedziała, przeto szanowna pani musi pozwolić na dopisek szczęśliwego małżonka i ojca, który kończy list zaczęty przez żonę.

Ja tylko jeszcze dodaję, że matka i dziecię dobrze się mają. Mała panna jest zdrowa i ładna; mam nadzieję, że dobrze chować się będzie i że będzie podobna z charakteru i powierzchowności do matki.

Zalaczam serdeczne ukłony i pozdrowienia od mojej żony.

Najniższy sługa

Helmut Born.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczo” dołącza się: *Samotna*, powieść przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Arkusz 3.

Treść: „Lili” Goethego. Kartka z życia poety.—Ogródek, przez Klina.—Bez tytułu. Powieść współczesna, przez Stanisława Ostrowskiego (dalszy ciąg).—Z Krakowa, przez M. Świdorską.—Korespondencja z Kołobrzega, przez Szczęsną.—Listy Marty do Maryi przyczynek do kwestyi kobiecej podług Pawła Heysego, skreśliła S. W. (dokończenie).

Dodatek obejmuje: *Samotna*, powieść, przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Ark. 3. — Przegląd mód. 22 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja obiadu.

Ubranie z kaftanikiem bolero i z tiunika.

Rycina Nr 1.

Materyał: szaro-niebieski fular w duży deseń. Przybranie: czarna aksamitka i gipiura „éru.“ Na spódniczkę, oszytą niezbyt wysoką falbaną, zakończoną w górze i u dołu czarną aksamitką, spada z boku zapięta, z przodu nieco otwarta tiunika, przybrana wokoło gipiurą i aksamitką. Gładki, z boku zapięty stanik, przykrywa kaftanik bolero, oszyty tak samo jak tiunika, gipiurą i aksamitką i zakończony małym kołnierzykiem „Médicis.“ Rękawy, ułożone w górze w zakładki i nisko schodzące na ręce, przybierają małe epolety. Pasek z czarnej aksamitki spina srebrna klamra.

Kapelusz „directoire“ z białego bastu, przybrany jest ponsowemi dzwonekami i białą gazą.

Ubranie z taffetas i koronki.

Rycina Nr 2.

Ubranie z granatowego fularu w deseń, naśladujący tiulową, białą siatkę, składa się ze spódnicy z falbaną i z bluzkowego staniczka, nie sięgającego ramion, otwartego z przodu i na plecach i podłożonego koszulka z białej koronki na jedwabnym, białym spodzie. Wycięcie stanika, rękawy, dół spódnicy, falbana w górze i szwy przednie, naszyte są potrójnie granatową, karbowaną wstążeczką, prócz tego, także same, potrójne naszycie, tworzy na falbanie duże zęby.

Okrągły kapelusz „canotier“, z jasnej, fantazyjnej słomy, opasuje wokoło główki, fałdowany, granatowy aksamit, z boku przybiera pęk różowych jastruni.

Kostium do polowania.

Rycina Nr 4. (Krój odwrotna strona tablicy Nr X, fig. 91—99.)

Kostium z szaro-zielonego covert-coat, składa się z krótkiej spódniczki, stebnowanej u dołu po 2 razy w odstępach i z krótkiego staniczka, zakończonego z tyłu fraczkiem. Stanik, opatrzone wyłożonym kołnierzem i klapami, zapięty na 2 patki wkłada się na kamizelkę z zielonego batystu, ułożonego w drobne zakładki. Białe, płócienny kołnierzyk i męzki krawat, dopełniają całości.

Kostium z krótkim kaftanikiem, do polowania, albo do jazdy na rowerze.

Rycina Nr 5.

Krótką spódniczka i kaftanik z szaro-zielonego sukna, przybrane są stebnowanymi plisami z sukna w kolorze zielonym. Spódniczka, z boku zapięta na rogowe guziki, wkłada się na majteczki z tegoż materyału. Kaftanik, opatrzone wykładanym kołnierzem i klapami zapina się na dwa rzędy rogowych guzików i nie dochodzi do stanu, tak, że widać z pod niego zielony, skórzany pasek. Płócienna koszulka ze stojącym kołnierzykiem i zielony, filcowy kapelusik, dopełniają zręcznej całości. Plisy z zielonego sukna na przodzie spódniczki, na rękawach i na bokach kaftanika, tworzą ślimakowaty deseń.

Kostium spacerowy w guście angielskim.

Rycina Nr 6.

Materyał: wełna angielska crème w brązową kratkę. Spódnica, wycięta wokoło w okrągłe, brzegiem stebnowane zęby, podłożona jest wysoką plisą z brązowego aksamitu, naszytą na podszwecie. Wycięcie stanika, zapiętego na rząd złożonych guzików, i brzeg tegoż wokoło,

zakończy pliska z aksamitu. Takież pliski przybierają rękawy. Stanik dopełnia koszulka z plisowanego jedwabiu „crème.“ Pomiedzy fałdkami koszulki wszyte są aksamitne pliski.

Ubranie jesienne z kaftanikiem.

Rycina Nr 7.

Materyał: lśniące fioletowe sukno. Spódnice gładką, nieco powłóczytą, przybiera aplikacja z białego sukna, stebnowana fioletowym jedwabiem. Aplikacja zębato wznosi się z przodu i tworzy przy zakończeniu duży liść koniczyzny. Takież same, tylko trochę mniejsze liście, powtórzone są na rękawach i na bokach krótkiego kaftanika w rodzaju bolera. Brzeg kaftanika, oraz kłapy i wykładany kołnier, objęte są aplikacją z białego sukna. Z pod kaftanika widać bluzkę z białego „taffetas“, ułożoną w poprzeczne, trochę skośne fałdki. Pasek z białej, rypsowej wstążki, spina z boku fantazyjna agrafa.

Przybranie kapelusza stanowią: plisowana gaza, ułożona w kształcie dużej rozety, pęk rajskich piór z przodu i ponsowe, zgniecione róże pod rondem, podniesionem z tyłu.

Serwetki z angielskiego płótna, ozdobione haftem.

Rycina Nr 9 i 10. (Deseń odwrotna strona tablicy fig. 126 i 127).

Haft do wskazanych tu serwetek, wykonany grubą, lśniącą bawełną, bardzo efektowną a zarazem łatwą stanowi robotę. Deseń do ryc. Nr 9, przenosi się na płótno, podług fig. 126 i wypełnia bawełną w dowolnych kolorach, ścięciem równym, płaskim, niezbyt gęstym. Następnie obwodzi się figury deseni ścięciem łańcuszkowym i raz jeszcze środki deseni zasnuwa się ścięciem, który trafia pomiędzy już wyszyte ścięgi (patrz ryc. Nr 11).

Haft na serwetce ryc Nr 10, jest nieco mozołniejszy. Oprócz wyżej wskazanego ścięgu, użyty tu jest ściąg atłaskowy i supełki.

Ubranie marynarskie dla chłopczyka od 3—4 lat.

Rycina Nr 19. (Krój odwrotna strona tablicy Nr XI, fig. 100—109).

Majteczki proste, zapięte przy kolankach na 3 guziczki. Bluzka luźna wyrzucana, przybrana



Nr 1. Ubranie z kaftanikiem bolero i tiunika.



Nr 2. Ubranie z „taffetas“ i koronki.

dużym kołnierzem marynarskim z białej piki. W kołnierzu wokoło wszyta wązka wstaweczka. Napierśnik odpowiedni.

Koronka szydełkową robotą.

Rycina Nr 20.

Ładna i nietrudna ta koroneczka, składa się z osobnych gwiazdek, połączonych z sobą łańcuszkiem, przepłatanym pikotami. Przy każdym z ząbków, stanowiących brzeg, znajduje się dosyć wydatny pikot. Gładkie paski, wykonane ściegiem słupkowym, połączone krataczką z łańcuszka, a stanowiące górę koronki, mogą być zastąpione tasiemeczką, t. j. mignardizą.

Strojna bluzka do wizytowych ubrań.

Rycina Nr 21.

Bluzka z jedwabnego lila „taffetas“ składa się na przodach z kilku wyciętych części, podsztych białą, jedwabną wypustką i ostebnowanych białym, grubym jedwabiem. Bluzka, dość nisko wycięta wokoło szyi, otwiera się na koszulce z białego, jedwabnego muslinu, przytrzymanej w stanie szerokim, białym, atlasowym pasem. Kołnier od koronki, w formie chusteczki, związany jest na długie końce. Kołnier okala zębata koronka, wązkie rękawy, zakończone w ząb, nisko schodzą na rękę.



Nr 8. Amazonka dla osoby dobrej tuszy. (Krój pierwsza strona tablicy Nr I, fig. 1—12).

Ubranie na koncerty, zebrania i t. p.

Rycina Nr 22.

Z fularu lśniącego w kolorze perłowo-niebieskim. Forma „princesse.“ Tiunika z jednego boku znacznie podniesiona, oszyta falbaną i pliską w ciemniejszym, aniżeli sukna odcieniu. Karczek, zapięcie i kołnier, przybrane pliskami, tak samo i rękawy.

Kapelusz w kształcie toka, upięty z koronki „Luxeuil“ i kwiatów hortensyi, parasolka z koronką „Luxeuil“, rękawiczki duńskie.

Kaftanik ranny do czesania.

Rycina Nr 6 w Bl. Nr 35. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 71—78).

Luźny, dosyć długi kaftanik ranny z grubego batystu, wszyty jest w prosty karczek i z przodu na guziki zapięty. Szerokie, wyżej aniżeli do łokcia otwarte rękawy, karczek wokoło i wykładany kołnierzyk, oszyte są falbaną z haftu, oraz podwójnie wązkim, haftowanym szlaczkiem. Dół kaftanika zakończy falbanka z materiału, przybrana kilkoma zakładkami.

Majteczki ze stanikiem dla chłopca od 3—4 lat i majteczki dla chłopca od 6—7 lat.

Rycina Nr 7 i 8 w Bl. Nr 35. (Krój odwrotna strona tablicy Nr XII, fig. 110—113).

Na dni chłodniejsze, ku jesieni, doskonale jest przygotować majteczki takie z białego barchanu. Szwy należy podszywać pliseczkami z perkalu albo tasiemeczką.

Jesienne kaftaniki dla dziewczynek od 3—4 i od 8—9 lat.

Rycina Nr 9 i 10 w Bl. Nr 35. (Krój odwrotna strona tablicy Nr IX, fig. 79—90a).

Rycina 9, przedstawia paltocek z granatowego sukna, zapięty na 2 rzędy perłowych guzików.



Nr 4. Kostium do polowania z kaftanikiem. (Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 91—99).

ków, przybrany podwójnym, pelerynkowym kołnierem. Kołnier, mały kołnierzyk wykładany, mankiety w rękawach i kieszonki po bokach kaftanika, wykonane z białego atlasu i stebnowką. Kaftanik podszyty tasiemeczką z dowolnego materiału.

Kaftanik ryc. 10, z granatowego szewiotu, zapięty na 2 rzędy złożonych guzików, po 3 w odstępach, wykonany z

i z wysokiej, okrągło krajanej falbany. Falbanę zakończy falbanka 12 centim. szeroka, z gładkiej materii lila, przykryta drugą z materii białej. Ta naszyta jest 3 razy karbowaną wstążeczką lila.

Pelerynki jesienne dla dziewczynek od 7—8 i od 10—11 lat.

Rycina Nr 15 i 16 w Bl. Nr 35. (Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 13—21).

Rycina Nr 15, przedstawia gładką pelerynkę z granatowego szewiotu, zapiętą na duże guziki i opatrzoną dużym, ostro zakończonym kapturem. Kaptur wyszyty jest czerwonym suknem. Brzegi pelerynki i mały, wykładany kołnier, są kilka razy stebnowane.

Praktyczna peleryna (rycina Nr 16), z pledowego materiału w kratę, w kolorach: czarnym, zielonym i białym, opatrzoną jest także dużym kapturem. Kaptur przybrany jest 5 ctm. szeroką frendzlą i spięty na patkę. Wysoki, stojący kołnierzyk przykrywa drugi, wykładany.

Męzka koszula negliżowa i koszula nocna.

Rycina Nr 17 i 18 w Bl. Nr 35. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 22—27).

Negliżowa koszula rycina Nr 17, z cienkiego płótna lub fularu, przód ma złożony z batystowych bufek, poprzedzielanych stebnowanymi paskami z materiału koszuli.

Nocna koszula ryc. Nr 18, gors, oraz brzegi kołnierzyka i mankietów, przybrane ma wązkim, haftowanym szlaczkiem.

Nr 3. Stanik do figury z długimi połami do konnej jazdy, stosowny też jako paltocek jesienny (patrz rysunek pleców szkic b). Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 67—70.

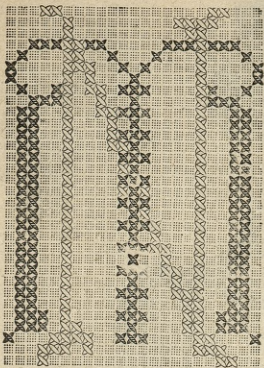


Nr 7. Ubranie jesienne z kaftanikiem.

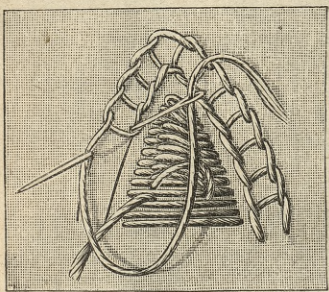
ki, przybiera duży, marynarski kołnier z niebieskiej satyny, oszyty plisą z białej piki. Na rogach kołnierza wyszyte są kołtwice białą, lśniącą bawełną.

Hałka jedwabna.

Rycina Nr 11 w Bl. Nr 35. (Zmniejszony krój odwr. str. tabl. fig. I i II). Haleczka, składa się z górnej części krótkiej i bardzo obcisłej



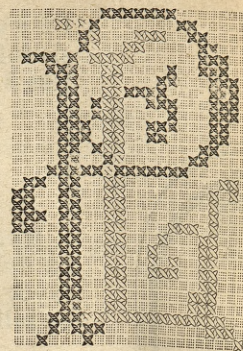
N.M.



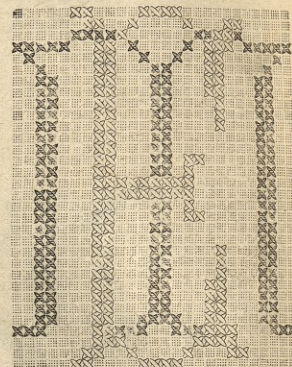
Nr 11. Wykonanie haftu do serwetek ryciny Nr 9 i 10. (Wielkość naturalna).



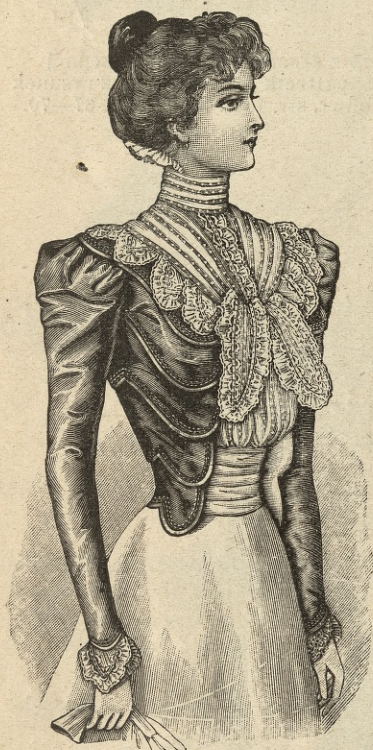
Nr 9 i 10. Serwetki z płótna angielskiego, przybrane łatwym haftem (patrz rysunek Nr 11).
Deseń odwrotna strona tablicy fig. 126 i 127.



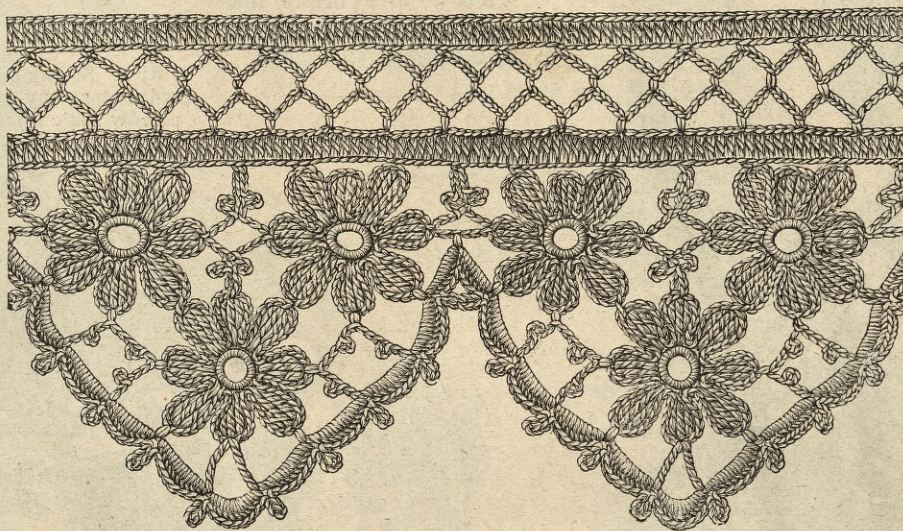
P.L.



E.M.



Nr 21. Strojna bluzka do wizytowych ubrań.



Nr 20. Koronka robotą szydełkową.



Nr 22. Ubranie na zebrania, koncerty i t. p.



Nr 12—16. Dienne koszule z kołnierzami i półkoszulkiem, dla chłopców od 6—7 i od 12—13 lat.
(Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 38—55).



Nr 19 Ubranie marynarskie dla chłopca od 3 do 4 lat.
(Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 100—109).



Nr 17 i 18 Nocne koszule dla chłopców od 11—12 i od 14—15 lat.
(Krój odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 114—125).

UWAGA. Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w przyszłym numerze „Bluszczu” podać się mające.